№ 27. Warszawa, dnia 7 Lipca (25) Czerwca 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Dnia 1 b. m. ICH CESARSKIE WYSOKOŚCI W. K. WŁODZIMIERZ ALEKSANDROWICZ wraz z MAŁŻONKĄ raczyli przybyć do Warszawy, gdzie uczestniczyli w raucie u Naczelnika Kraju, zwiedzili rozmaite instytucye i zakłady dobroczynne w towarzystwie J. W. Generał-gubernatorstwa oraz dygnitarzy wojskowych i cywilnych, w dniu zaś 4 b. m. raczyli udać się na dworzec kolei Warszawsko-Petersburskiej, a o godz. 12 m. 20 pociąg dworski opuścił stacyę.

POLITYKA.

WSKRZESZONA TRADYCYA.

Historya całkowania się Niemiec pod przewodnictwem Prus jest w jednym względzie niezmiernie ciekawą, mianowicie we względzie mocnego murowania tej budowy. Nieznającym szczegółowo dziejów bieżącego stulecia zdaje się, że państwo pruskie dwoma śmiałymi i szczęśliwymi skokami— w wojnach z Francyą i Austryą — stanęło na tej wyżynie, na której widzimy je obecnie. Tymczasem do tych skoków przygotowywało się ono powoli, mozolnie, przebiegle, umacniając grunt i mnożąc punkty oparcia. Robota jego nie była nigdy fuszerką, przedsięwzięciem ryzykownem, przeciwnie, zawsze ubezpieczonem. Czytelnicy nasi niech otworzą świeżo otrzymaną *Historyę XIX w.*, a od stronicy 440 znajdą w głównych stadyach zaznaczony ten proces rozwoju, oraz klucz do rozwiązania zagadki, jaką w swej mowie tronowej postawił światu Wilhelm II. Wspomniał on ogólnikowo, że będzie się starał utrzymać przymierze z Austryą według zasad obowiązujących do r. 1886, a odpowiadających tradycyom Niemiec. Wzmianka ta, w pierwszej chwili przeoczona, szybko stwardniała w sęk twardy i trudny do rozłupania. O jakich „formach prawa międzynarodowego," uznawanego do tej daty, myślał nowy monarcha? Jaki zamiar kryje się w tem niepochwytnem orzeczeniu? Odpowiedzi wyraźnej dotąd nie posiadamy, ale już błysnęły pewne światełka, które zdają się być jej promieniami.

Przewodnią ideą wszystkich zamiarów ks. Bismarka i wytworzonej przez niego polityki, ideą, której on ukryć nie chce i nie może, jest dokończenie dzieła, któremu życie swe poświęcił — jedności Niemiec. Dopóki istnieje Austrya, jako państwo niezależne, tylko umowami na oznaczony przeciąg czasu przywiązane, jedność ta pozostaje niezupełną, brak jej kopuły. Z jawnych i tajonych układów widać, że kanclerz od lat wielu pracuje w Wiedniu nad przeprowadzeniem tego planu, dla którego szukał dróg najrozmaitszych. Najprostszą byłaby wojna, drugie, mocniejsze uderzenie w Austryę, rozbicie jej, zabranie prowincyj niemieckich a zlepienie reszty w jakąś odrębną całość lub przyczepienie do innego mocarstwa. Ale z jednej strony paraliż sił wojskowych obawą odwetu Francyi, z drugiej — konieczność liczenia się z obecną i przyszłą potęgą Rosyi, dwie te przeszkody zagrodziły Niemcom ową drogę. Należało chwycić się układów pokojowych, które ks. Bismark ciągle prowadzi, odnawia, rozszerza i wzmacnia. Dziś już Austrya jest ciałem politycznem, krążącem w sferze przyciągania Niemiec i znaczną część samodzielności swej straciła. Ale ją jeszcze ma a w zakresie wspólnego mianownika plemiennego stracić powinna. Jakim sposobem?

Naturalnie tym samym, którym ją dotąd przykuwano. Czytelnicy gazet politycznych zauważyli z pewnością coraz częściej pojawiające się w nich pogłoski o „związku celnym" niemiecko-austryackim. Otóż taki związek, przed 60 laty usnuty pod opieką Prus a wbrew woli Austryi, był pierwszą podwaliną zjednoczenia Niemiec, jak o tem czytelnicy przekonać się mogą w *Historyi XIX wieku*. Dostrzegą tam bardzo zręczne i umiejętne dzierganie spojeń ekonomicznych, które powoli zamieniły się na ogniwa polityczne, zahartowane w kuźni militaryzmu. Oporną Austryę wyosobniano coraz bardziej, aż wreszcie po Sadowie wysunięto ją z Rzeszy zupełnie. Dziś powtarza się ta sama robota, tylko szyta nićmi przyjaźni i życzliwej namowy—używanemi dawniej względem Bawaryi i Saksonii. Jaką postać przybierze ten stosunek, który potrąci o interesy niemieckich ludów Austryi — orzec trudno. Określi ją siła nacisku jednej i odporność drugiej strony. Monarchia habsburska nawet dla idei skupienia dzieci Germanii w jedną gromadę nie zrzeka się dobrowolnie swego niepodległego stanowiska, ale może się znaleźć wobec konieczności, które ją zmuszą do ofiary. Ks. Bismark zaś dba o to, ażeby tych konieczności było jak najwięcej i ażeby one zaciążyły nad sąsiadką skutecznie.

Tak rozumieć należy zagadkową wzmiankę Wilhelma II o warunkach przymierza, odpowiadających „tradycyom" historyi niemieckiej i oznaczonych datą 1866 r., kiedy niewinny „związek celny" dojrzał jako system polityczny, jednoczący rodzinę germańską pod skrzydłami orła pruskiego. Najbliższa tedy przyszłość zapowiada dalszą, może ostateczną unię niemiecko-austryacką, która splącze ściśle interesy obu państw.

Czy dla tej unii wytwarza się w Europie równoważąca jej potęgę siła zbiorowa? Czy widzimy bodaj początki podobnego łączenia się innych narodów? Nie. Ten duch organizacyi, jednoczenia, związków ustrojowych, który zawsze ze szczególną żywotnością występował w dziejach plemienia germańskiego i objawiał się w najdrobniejszych jego odłamkach, bo nawet w grupkach kolonizacyjnych, staje z całą swą mocą i w tem olbrzymiem przedsięwzięciu, a jak zwyciężał zawsze, tak zwycięży obecnie. Jeżeli zaś on wcieli się w życie, jeżeli całe plemię oświecone, zbrojne, bogate, rozumnie zagospodarowane stanie w Europie jako jeden organizm, bez wahań i trudu odgadnie ona swe losy a ks. Bismark może ledz do grobu spokojny, że czas nieprędko jego dzieło podważy i zrysuje.

Nie trzeba wątpić, że ani on, ani jego monarcha nie pragną wojny, o ile im nikt nie przeszkodzi w wykończeniu budowy politycznej. Rzeczywiście na co im wojna? Coby w niej zyskali? Jedno tylko starcie, gdyby sąsiedzi chcieli być świadkami obojętnymi, byłoby dla Niemiec korzystnem i niemal koniecznem — z Austryą. Ale skoro ona dobrowolnie oddaje swoje Alzacye i Lotaryngie, jako ofiarę na ołtarzu „związku celnego,“ po co Prusy mają wydobywać oręż?

W „WARSZAWSKIM DNIEWNIKU.“

II.

Daleko obszerniejszy, niż nasze streszczenie, wywód „Polaka z potopu niemieckiego“ w *Warsz. Dniewniku* daje się ująć krótko tak:

Ocean germański oberwał już kawały lądu Słowiańszczyzny, podmył szerokie jej pasy i grozi całkowitym zalewem: ludy słowiańskie uratować się mogą tylko przez skojarzenie swych sił dla wspólnej z nieprzyjacielem walki. Naród polski, jako członek tej rodziny, powinien z jej dążeniami złączyć swoje, tem bardziej, że najbardziej zagrożony. Rolę przewodnią i opiekuńczą w tem wielkiem przedsięwzięciu mogłaby wziąć na siebie Rosya.

Jakkolwiek w rozumowaniu autora jest wiele uwag słusznych a nawet myśl łącznej obrony słowian przeciwko germanizmowi zasługuje na uwagę i pamięć, to jednakże w odniesieniu do polaków ma ona, że tak powiemy, raczej akademickie, niż praktyczne znaczenie. Jeżeli bowiem nie chodzi o sądy etnograficzne lub historyczne, ale o politykę, to trzeba mieć na uwadze, że polacy dziś stanowią trzy oddzielne grupy, żyjące i rozwijające się w odmiennych warunkach, które nie otwierają ujść wyrazom pragnień zbiorowych, a tem mniej działalności w pewnym kierunku. Wyjdźmy po za frazes i przełóżmy na język rzeczywistości radę autora: co wypada robić? W pismach, broszurach, książkach głosić ideę zrzeszenia się słowian i obsiewać nią grunt, dotąd tem ziarnem nieplonujący — ale tego już w pewnej mierze dokonano. Jest prawdą, że polacy w swem życiu dziejowem słabo uczuwali się słowianami, że skutkiem nadmiernego przechylenia się ku zachodowi i lekceważenia węzłów plemiennych popełnili szereg omyłek, za które srodze odpokutowali; świadomość wszakże potrzeby zwrócenia się w stronę pobratymstw już dawno w nich dojrzała i owocowałaby bardzo, gdyby takim owocom sprzyjały warunki czasu i miejsca, gdyby ich nie niszczyły chłody i mrozy. Rzec nawet można, że polacy są dziś teoretycznie słowianofilami w najczystszem i najsprawiedliwszem tego słowa znaczeniu. Stanowisko to zajęli oni zwłaszcza tam, gdzie je jawnie zająć mogli i gdzie najdotkliwiej odczuli niebezpieczeństwo naporu fal germańskich—w Poznańskiem. Ileż razy stamtąd wybiegały śmiałe głosy z hasłem łączności słowiańskiej, a nie ich, lecz puszczy winą było, że pozostały tylko głosami, które umilkły bez trwałego śladu. I gdyby w kierunku, w którym one płynęły, odbrzmiało im uczciwe echo, niewątpliwie odezwałyby się inne i powstałby chór z nut rzetelnie słowiańskich. Ale przypuśćmy, że z 12 milionów tej odnogi plemiennej 10 wyznaje artykuły wiary równouprawnionego sojuszu ludów pobratymczych, cóż dalej? Polityka nie jest pasmem słów, lecz czynów; cóż więc owe 10 milionów ma czynić dla stwierdzenia swych przekonań? Nam się zdaje, że w sprawie zjednoczenia ludów słowiańskich nie chodzi już o zasady i cele związku, które są już określone, ale o warunki, któreby tym zasadom i celom nadały postać realną. Alboż to polacy, podobnie jak czesi, słowacy, serbowie itd. nie wiedzą, co im grozi od germanizmu i co ich uratować może; oni nie wiedzą tylko, w jaki sposób się ratować, a pod tym względem autor z *Dniewnika* nie wskazuje im drogi.

Właściwie trudno rzec, pod czyim adresem napisał on swoje uwagi. Głównie poucza polaków, ale z powodu ograniczoności sfery ich działania większą wagę mają jego życzliwe rady, udzielone rosyanom. Według niego Rosya powinna trzymać się polityki słowiańskiej, równouprawniającej wszystkie ludy tego szczepu, a wtedy zdobędzie ona w swych pobratymcach siłę potrzebną do spełnienia wielkiego zadania. W tym sądzie mieści się już wskazówka praktyczna, wychodząca po za granice rozprawy akademickiej. Jedynie bowiem Rosya, jako mocarstwo potężne i niepodległe, posiada środki do wywarcia wpływu na bieg losów Słowiańszczyzny i nadania stosunkom członków tej rodziny takiej postaci, jakaby odpowiadała wspólnemu ich interesowi i umożliwiła walkę z germanizmem. Żadna deklamacya, żadna pierś Tyrteusza niezdolna tą mocą natchnąć któregokolwiek z ludów słowiańskich, bądź słabych liczebnie, bądź ubezwładnionych. Mniemamy tedy, że autor *Dniewnika* pragnąłby wskrzesić tradycye dawnych słowianofilów ruskich, a z ich programów, zasad i uczuć wykreślić plan dla polityki ruskiej. Wtedy dopiero znalazłaby się sposobność dla tej lekcyi, którą tak obszernie i w wielu punktach logicznie wyłożył polakom, gdyż wtedy dopiero znalazłaby się rola czynna, której dziś nie posiadają.

Brak tej roli powstrzymał nas od szczegółowego rozbioru twierdzeń „Polaka z potopu niemieckiego,“ twierdzeń, które, jak rzekliśmy, w wielu punktach są słuszne, w wielu nastręczyłyby materyał do poważnego sporu. Po co mikroskopować i do światła przeglądać słowa, kiedy ich rdzeń nie wcieli się w czyn? Filozofia polityki słowiańskiej wówczas przestanie być metafizyką, od życia oderwaną, gdy zejdzie na grunt pozytywny, na pole faktów i konieczności. Bez takiej podstawy może ona — jak w tym wypadku — mieć tylko znaczenie symptomatyczne, dla czasu i miejsca, z którego wypływa. I takie objawy coś warte, ale jakże one jeszcze dalekie od tych danych, na których oprze się nieco odleglejsza przyszłość!

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bez uwagi na takt, na przyzwoitość, na majestat śmierci, na dostojeństwo zmarłego

---

1)

Z tajemniczego świata.

Żadna część świata nie dostarczyła w ostatnich latach wiedzy naszej tylu nowych odkryć i ciekawych obrazów, ile Afryka. Ciągle przedsiębrane do jej wnętrza wyprawy, nadzwyczaj śmiałe przechody nieustraszonych podróżników, opisy badaczów i kupców, zgromadziły olbrzymi i świeży materyał, ktory Europa bądź dla myśli, bądź dla wyobraźni zużywa z wielką chciwością. W literaturze niemieckiej, angielskiej, francuzkiej ukazują się całe szeregi dzieł, oświetlających tę nieznaną lub mało znaną dziedzinę. Pragnąc czytelnikom ukazać chociaż kilka widoków z tego tajemniczego świata, wyjmujemy je z wydanej przed paru miesiącami książki Freedena (*Reise u. Jagdbilder aus Afrika*), będącej niejako wypisami podróżniczymi z najnowszych dzieł tego rodzaju, dotyczącymi życia ludów nieucywilizowanych i otaczającej ich natury.

I. W królestwie Mapaara.

Ani słowem — opowiada Farini — nie powitano nas przy wejściu (do siedziby władcy). Mapaar (król Bakalahari w południowej Afryce) ograniczył się tylko do wskazania nam ręką miejsca na rozpostartej przed nim skórze. Przykucnęliśmy według zwyczaju, a wtedy kazałem dwu buszmanom przynieść dary przeznaczone dla władcy, mianowicie: dwie wełniane, jasne kołdry, które uroczyście przed nim rozpostarłem. Ale Mapaar nie odezwał się wcale, nie spojrzał nawet na moje wspaniałe dary.

Pierwszy przerwał milczenie Kert (towarzysz podróży i tłomacz). Giestykulując gwałtownie i często wskazując na mnie, obracając się co chwila, jak gdyby żądał ode mnie potwierdzenia słów swoich, mówił bez przestanku około 20 minut, poczem usiadł z miną trybuna ludowego, który wraca na swoje miejsce śród oklasków zgromadzonego tłumu. Nikt wszakże nie odezwał się; to, co powiedział, może było bardzo pięknem i prawdziwem, albo też przeciwnie; w każdym razie potoku jego wyrazów nie przerwało ani: „słuchajcie!“, ani „nie!“

Naturalnie z tego wszystkiego nie rozumiałem nic i dopiero gdy Mapaar odpowiedział, spostrzegłem, że Kert, jako pośrednik na swoją korzyść wyzyskał to stanowisko. Władca (wytłomaczono mi) cieszy się, że widzi wielkiego kapitana z Londynu i że królowa czuje dlań względy; dumnym jest, że ona pragnie otrzymać od niego wiadomości, a szczególnie pyta o jego zdrowie. Kołdry są bardzo piękne, ale on słyszał, że posiadam na wozie skórę lwią, którą, jako król Bakalahari, pragnąłby posiadać. Książę londyński jest bohaterem, skoro może zabić lwa, a Mapaar pokaże swemu ludowi skórę, gdy wielki kapitan odjedzie.

Tym sposobem panujący żebrak dał mi do zrozumienia śród pochlebstw, że nie powinienem mu odmówić skóry. Dodał nawet dla dokładności, że pożąda dużej, nie małej. Trudno — musiałem zrobić tę ofiarę z mojego najlepszego łupu. Pocieszałem się tylko, że władca nie upatrzył sobie mojej strzelby lub najlepszej pary butów — poleciłem więc przynieść skórę i wręczyłem mu ją uroczyście. Władca był bardzo zadowolony, zwrócił mi nawet kołdry, których jednak nie przyjąłem.

Na tem skończyło się posłuchanie.

Dwu towarzyszów wskazało mi zaraz drogę do chaty, w której przez ośm dni miałem zamieszkać. U wejścia stały dwie stare kobiety; wstąpiwszy do wnętrza, zdziwiłem się, ujrzawszy na podłodze wysłanej skórami młodą damę, która widocznie oczekiwała mnie, a przynajmniej nie zdradzała

monarchy, gadzinowa prasa niemiecka znieważa jego grób, chłoszcząc na mogile Fryderyka III karykaturę jego przyjaciela i lekarza. Zdawałoby się, że już przecie powinno ustać to sromotne ujadanie, że już zniknęły do niego wszelkie powody: gdzie tam, z jakąś dziwną, niewytłomaczoną zaciekłością rozlega się ono dalej. Ponieważ Mackenzie miał gdzieś znowu oświadczyć (prasa wkłada mu w usta coraz inne słowa), że Fryderyk III nie cierpiał na raka, więc ma być przez niemieckich doktorów sporządzony protokół, stwierdzający w nieboszczyku tę chorobę. No przypuśćmy, że była, że było cokolwiek, że zmarły powinien był zrzec się tronu, ale się nie zrzekł, przez trzy miesiące rządził, cóż mu za to zrobić, kiedy umarł? Czy tu wytacza proces głupota, czy ślepa, bezmyślna zawziętość?

Na wierzchołku góry rządowej w Niemczech objawia się jakieś dziwne rozjątrzenie. Pogłoski twierdzą, że cesarz okazuje samodzielność, która zdumiewa jego kanclerza, że obraca się do niego w wielu sprawach jeżem, że wbrew jego radom postanowił (11 b. m.) wyjechać morzem do Petersburga, że nie chce oprzeć się na żadnej partyi itp. Niejakim dowodem ostatniej wieści jest mianowanie ministrem spraw wewnętrznych podsekretarza stanu Herrfurta, urzędnika gładkiego i bezbarwnego, który dotąd nie maszerował pod żadną chorągwią. Jego nominacya świadczy, że ks. Bismark dobrał sobie podwładnego, ale również, że cesarz żadnemu stronnictwu nie dał w tym wypadku znaczenia atutów.

Gdyby ostatnie numery *Nordd. Allg. Ztng* włożyć w świeżo wynaleziony fonogram Edisona (przyrząd odtwarzający mowę z pisma), usłyszelibyśmy rozdrażniony głos ks. Bismarka. Ile razy tam jego myśl się odbije, zawsze brzmi ostro. Dawniej, mówiąc o Alzacyi i Lotaryngii, organ kanclerski prawił o odzyskanych braciach, o garstce warchołów francuzkich, o przeciskaniu do serca Germanii dwu wyzwolonych jej cór; teraz rozpuściwszy język z powodu sarkań na paszporty, zmieniła ton z kociego na tygrysi i wyraźnie oświadcza, że rząd pruski nie dba o czułość zdobytych prowincyj, że je zabrał tylko dla korzyści strategicznych, a utrzyma silną ręką w poddaństwie.

Właściwie dziś żadna z dwu służebnych partyj nie wie, której on będzie patronem. Narodowo-liberalni postanowili nie odnawiać ugody (kartelu) z konserwatystami, gdyż obie strony wyrachowały, że na tym związku straciły, a każda sądzi, że osobno łaski bożyszcza zyska. Wogóle, w stronnictwach parlamentarnych, w prądach politycznych znać jakiś zamęt, jakąś fermentacyę, z której dopiero wytwarza się spiritus przyszłości. Szybkie przesunięcie się na tronie trzech monarchów w ciągu paru miesięcy musiało wywołać ten objaw.

Jeśli wróżby nie omylą, Francya znowu zmieni gabinet. Komisya budżetowa wyznaczona do zbadania propozycyj ministra skarbu w znacznej większości jest mu przeciwną i może wywołać przesilenie. Nie tylko my oddaleni, ale sami francuzi jeszcze chyba nie wiedzą, komu wtedy powierzą ministeryalne teki. Dojdzie chyba do tego, że prezydent Rzeczypospolitej będzie wyznaczał oficerów, a jeśli ci nie zechcą, prostych żołnierzy do utworzenia tymczasowego rządu, dopóki nie sklei się jakaś mozajka ministeryalna. Boulanger zaś znowu odzyska głos i zacznie bezcześcić warcholstwo, które na bezcześć istotnie zasługuje.

Około majora Popowa i wydanego nań wyroku kręci się całe życie polityczne Bułgaryi. Wątłość osi przekonywa o wątłości tego życia. Jeśli nawet mały narodek przez kilka miesięcy rozpala swe namiętności przy ogniu kwestyi, czy major Popow ma być ułaskawionym, czy też nie, widać, że to kociołek, w którym wrą i gotują się drobiazgi.

Podobno królowa angielska posiada jakieś papiery po Fryderyku III, które chce ogłosić i podobno ks. Bismark czyni wszelkie wysiłki, aby temu przeszkodzić i podobno między Berlinem a Londynem naprężyły się skutkiem tego stosunki. Ale to wszystko... *podobno.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

PIENIĄDZE PAPIEROWE.

Kwestya podniesienia kursu rubla żywo zaprząta obecnie publicystykę ruską. Wprawdzie tok wypadków od czasu do czasu wysuwa na plan pierwszy jakąś inną sprawę, lecz uwaga publiczna wkrótce zwraca się do dawnego przedmiotu — uregulowania wartości pieniędzy papierowych. Bezwarunkowo jest to najbardziej palące zagadnienie chwili. Zwykle w takich razach, kiedy jakaś jedna kwestya pochłania umysły, szerzy się śród nich szczególnego rodzaju zaraza — projektomania. Każdy uważa się za powołanego do zażegnywania klęski, bez względu, czy posiada w tej mierze warunki najelementarniejszego pojmowania rzeczy. W jakim stopniu epidemia ta we względzie uregulowania spraw rubla opanowała publicystykę ruską, nie będziemy rozpatrywali, choć niektóre z organów doszły w pogoni za znachorstwem do możliwych granic niedorzeczności. Zresztą, prócz ulotnych projektów i artykułów gazeciarskich, wypuszczono pociski większego kalibru — za dowód niech służy rozprawa J. J. Kaufmana. *Bilety kredytowe, ich spadek i polepszenie.* Z liczby tego rodzaju prac, poniekąd przypadkowo, wpadła nam do ręki świeżo wydana broszura: *Pieniądze papierowe* *), podpisana inicyałami W. B. Wzięliśmy się do przerzucenia kartek tej rozprawki jedynie z obowiązku sprawozdawcy, aby powiedzieć kilka słów ogólnikowej oceny, lecz zostaliśmy pociągnięci wkrótce sposobem wykładu i przeczytaliśmy ją z całą uwagą i przyjemnością. Jest to rzeczywiście poszukiwanie praw, rządzących obiegiem pieniędzy papierowych — kwestyę więc postawiono bardzo szeroko.

Autor wychodzi z założenia charakterystycznego dla całej szkoły Rikardowskiej w ekonomii politycznej, mianowicie, iż wartość przedmiotu, wystawionego na rynek (czyli t. z. towar), zależy przedewszystkiem od tkwiących w nim właściwości społecznej natury — ilości zużytej na jego wytworzenie pracy. W ten sposób, jeżeli jakiś towar wymienia się na inny, ilości pracy, zawarte w każdym z nich, są wzajemnie równemi sobie. Warunki zaofiarowania i zapotrzebowania wywierają w tej sprawie zaledwie wpływ drugorzędny, gdyż wszystkie oddziaływania z tej strony sprowadzają się do zakłóceń w równianiu wymienionem, wyznaczanem przez zakrzepłą pracę. Kupowanie i sprzedawanie przedstawiają właśnie podobną wymianę przedmiotów na złoto i podlegają wszystkim prawom obiegu towarowego. Szlachetne kruszce są bowiem przedewszystkiem towarami i dopiero później, dla tej swej właściwości, stały się pieniędzmi. Były one na zaraniu historycznem powszechnie przyjmowanymi produktami, brano więc je chętnie jako tymczasowy równoznacznik za oddawane przedmioty, w przekonaniu, że w każdej chwili można będzie następnie otrzymać w zamian za nie wszelkie inne pożądane rzeczy. Swego charakteru towarowego kruszce szlachetne nie utra-

*) *Bumažnyja diengi*, Petersburg.

---

zamiaru oddalenia się. Kert objaśnił, że szczyt gościnności u kalaharów polega na daniu przybyszowi kobiety *ad interim* i że czarną, stojącą przede mną piękność zawdzięczam szczególnej łasce Mapaara; powinienem przeto bodaj udać zadowolonego i przyjąć niewiastę w tej roli, w jakiej mi ją przysłano, jeżeli nie chcę obrazić całej wsi.

I oto stałem śród ciemnej części globu, podróżnik na szerokiej ziemi, zdala od ojczyzny, krewnych i przyjaciół, obdarzony nagle siedzibą i kobietą, szybko i węzłowato, bez zachodów, kosztów i obrzędów. Tego przecie nie dokazałoby najzręczniejsze biuro stręczeń małżeństw cywilizowanego świata. Ilu mężczyzn ucieszyłoby się, gdyby zwyczaje afrykańskie przeniesiono do Europy i Ameryki, a stadła kojarzono tak szybko, jak u bakalaharów!

Czarna piękność wydawała szczególnie mocną woń, bardzo odmienną od naszych sklepów z pachnidłami.

Nad wieczorem poszedłem do wozów, dla zobaczenia, co robią moi towarzysze; znalazłem tam gromadę kobiet, które się wygodnie rozmieściły; zapytałem Fritza, co to są za jedne. Twarz promieniowała mu rozkoszą.

— Bóg nas nie opuścił — rzekł; kobiety te są naszemi żonami.

Inni ludzie byli również szczęśliwi, mieli obfitość jedzenia i kobiety, które im gotowały; zastosowali się oni zupełnie do losu, czego im zazdrościłem. Ja nie mogłem tak łatwo nagiąć się do okoliczności: zacząłem rozmyślać nad tem, co mam robić, wreszcie o zmroku wróciłem do chaty, a udając bardzo zmęczonego, rzuciłem się na posłanie i pozornie zasnąłem, ażeby nie obrazić ciemnej oblubienicy, która też zwabiona śpiewem i weselem sąsiadów przy wozach, wkrótce się do nich wymknęła. O wschodzie słońca przyszła i przyniosła śniadanie. Bardzo ją to uradowało, że je przyjąłem od niej. Kiedy ją wszakże zaprosiłem do uczestnictwa, cofnęła się lękliwie, przerażona zakazanem u jej plemienia żądaniem, ażeby kobieta jadła razem z mężczyzną, nawet będąc jego żoną.

Gdyśmy obejrzeli ogrody Mapaara, odwiedził on nas w obozie, gdzie go uczęstowałem wódką imbirową. Posmakowawszy, oświadczył, że woli *kolońską.* Tak jej nie nazwał, ale myśl jego odgadłem. Fritz przyniósł butelkę — na szczęście miałem tę wódkę w zapasie skutkiem życzliwej rady w Kimberley, gdzie mnie objaśniono, że jest to najbardziej lubiany przez krajowców likier. Handlarze, rozbudziwszy w nich pociąg do ostrych napojów, musieli mu zadość czynić, a gdy spirytusu zbrakło, sprzedawali perfumy lub wódkę apteczną. Odkorkowano więc najpośledniejszą markę M. Fariny, Mapaar włożył flaszkę do ust i nie wyjął jej, dopóki nie wysączył ostatniej kropli.

Zaczął prosić o więcej! Obawiałem się mu dogodzić, ażeby lud nie zwalił na mnie jego przypadłości.

— Nie troszcz się pan — rzekł Fritz, który lepiej był poinformowany — jeżeli mu dasz, wypije sześć butelek — i zaledwie zdołałem powiedzieć, ażeby mu przyniesiono, już podano drugą, którą również wypróżnił. Bez trudu powędrowała jego dostojność do swego pałacu z brudnej gliny i trawy, tak szczęśliwy, jak podchmielony gentleman, kroczący do swego wytwornego klubu.

Przed wieczorem moja połowica zawiadomiła mnie, że wieczerza gotowa. Udałem się do chaty, zabrawszy z sobą Lulu (towarzysz podróży). Wszedłszy, dotknąłem głowy „pani domu," chcąc przez to okazać zadowolenie z jej obecności; ale ona nie zrozumiała tej pieszczoty i przyjęła ją najczarniejszem ze swych czarnych spojrzeń. Może znowu zgrzeszyłem przeciw społecznemu

ciły mimo późniejszego przyodziewka — w formie ostemplowanej przez państwo monety. Pieniądz złoty (lub srebrny) podlega po dawnemu wszystkim prawom, regulującym wymianę towarów: tak np. wartość jego zależy przedewszystkiem od zawartej w nim ilości pracy.

Słowem, złoto stało się pieniędzmi, ponieważ fizyczne cechy czyniły je najodpowiedniejszym równoznacznikiem dla mierzenia i przechowywania wartości innych towarów z nadzieją otrzymania za nie każdochwilowo z rynku sumy produktów, równej z dostarczoną niegdyś tamże. Lecz jest to rzeczą zgoła zrozumiałą, iż podobne zadanie może spełnić nawet najprostszy kawałek papieru, byleby przedstawiał dostateczną rękojmię do wyjęcia z obiegu wartości towarowej, odpowiadającej tej, którą włożono w zamian za ów świstek. Właśnie na tem zasadza się obieg pieniędzy papierowych. Przypatrzmy się tylko dziejom ich powstania. W średnich wiekach tworzą się tu i owdzie t. z. banki depozytowe, przedstawiające ogromne udogodnienie z powodu przechowywania u siebie ruchomych majątków prywatnych (złota, kosztowności itd.). Bankier, pobierający pewne za to wynagrodzenie, wydawał kwit na złożoną wartość. I oto papier ów staje się środkiem wypłaty; biorący, posiadając pewność, że w każdej chwili może wymienić go u bankiera na złoto, chętnie nim się posługuje. W ciągu dalszym banki już same poczynają wypuszczać systematycznie bilety na zapewnienie złożonych sum depozytowych — powstają instytucye emisyjne. Doświadczenie wykazało, iż dla utrzymania wypuszczonych papierów *al pari* (tj. na poziomie złota), nie koniecznie potrzeba, aby odpowiednie sumy wartościowe spoczywały nieruchomie w skarbcu bankowym, gdyż jedynie nieznaczna liczba posiadaczy papierów zjawia się w celu ich wymiany. Fakt, iż daleko mniejsze fundusze, niż ogólna wartość wypuszczonych obligacyj papierowych, starczą do załatwienia żądanych w metalu wypłat i staje się podstawą wszystkich operacyj emisyjnych. Pieniądze papierowe same przez się nie posiadają najmniejszej wartości, lecz przecież mogą spełnić odpowiednie funkcye, o ile są znakami, nadającymi prawo do każdochwilowego otrzymania takiej wartości towarowej, jakąśmy sami dostarczyli. Za taką rękojmię służy spoczywający w skarbcu bankowym towar-złoto, oraz zobowiązania dłużników bankowych. Widzimy stąd, iż jeżeli ktoś jest w stanie wypuszczania pieniędzy papierowych, może to czynić jedynie w granicach ofiarowywanej przez się gwarancyi towarowej. Państwo, które niemal przywłaszczyło sobie prawo emisyi papierów pieniężnych, robi to równie na mocy poręczenia towarowego tej części produktu społecznego, która mu się należy jako pobieraczowi podatków. Wszelkie zapewnienia, jakie daje na dobrach publicznych, nie osięgają celu, chociażby dlatego, iż nie opierają się na towarze. Natomiast jest nieodzownem zabezpieczenie w złocie. Otrzymuje się je przez otwarcie publicznej wymienialności papierów na metal. Mianowicie państwo przeznacza pewne fundusze w kruszcu, niepotrzebujące zresztą, wobec gwarancyi podatkowej, równać się wypuszczonej sumie papierowej, lecz w każdym razie takie, ażeby można było czynić zadość wszelkim zgłaszaniom się o wymianę na złoto (i srebro). W Europie praktyka wykazała, że na ten cel wystarcza kwota, równa $^1/_3$ wartości wypuszczonych papierów. Obieg pieniędzy publicznych *al pari* spoczywa właśnie na istnieniu podobnej wymienialności — z widokami, osłabiającymi nadzieję tej wymiany, odpowiednio zniża się kurs papierów. Jest to najważniejsza przyczyna jego spadku i ona to wraz z widokami, przedstawianemi przez źródła podatkowe, określa głównie na giełdzie notowanie papierów w złocie. Nieodpowiedniość zaś sumy zapasowej w skarbcu z wartością wypuszczonych papierów wynika zwykle z nadmiernych emisyj, jakkolwiek mogą istnieć i inne powody *). Dopóki jej się nie usunie, wszystkie wysiłki przywrócenia papierom kursu *al pari*, muszą pozostać bezowocnemi. Inne okoliczności wywierają znaczenie jedynie czasowe i o wiele podrzędniejsze. Tak np. wielu widzi przyczynę obecnego upadku rubla w niekorzystnym dla Rosyi stosunku wywozowym — mniemanie bez podstawy, skoro uwzględnimy prawa rynku towarowego. Gdyby bowiem wynikały stąd dla zagranicy jakieś trwałe korzyści, oznaczałoby to, iż towary z Rosyi można taniej nabywać, niż skądkolwiek i konkurencya ze strony kundmanów wkrótce wyrównałaby różnice z innymi krajami. Za to stosunki polityczne mogą wywierać wpływ znaczniejszy. Wiadomość, iż państwo, którego papiery są nizko znaczone, a wypłacalność w złocie zachwianą lub już zamkniętą, znajduje się w przededniu wojny, musi rodzić przypuszczenie, że nastąpią nowe emisye papierów bez oparcia metalicznego wraz z dalszym spadkiem kursu. Dla uniknięcia możliwych strat za granicami, posiadacze papierów spieszą z wyprzedaniem ich — oto jeden z powodów zniżki pieniędzy ruskich. Często spekulacya giełdowa rozpuszcza podobne pogłoski w celach wywołania trwogi i osiągnięcia z niej korzyści. Lecz wszystkie te przyczyny każą już przypuszczać istniejący zły stan finansów i małą rękojmię wymienialności papierów na złoto. Nie w nich to, lecz właśnie w tych ostatnich powodach spoczywa całe zło.

Istnieje pogląd, iż spadek rubla papierowego odbywa się jedynie w stosunku do złota i nie tyczy się cen towarowych; że ze zniżki rubla zagranica odniosła ważne i stałe korzyści, gdyż może taniej nabywać towary krajowe; iż nizki poziom wymiany rubla na złoto stanowił jakieś wielkie nieszczęście i że z wzrostem wartości rublowej wszyscy wzbogacą się. Są to złudzenia, wynikające z nieznajomości praw ekonomicznych. Zapomina się, iż spadek rubla innemi słowy oznacza podwyższenie cen towarów, tak, iż jeżeli ktoś przy kursie 100 brał za wytwory 20 rubli, przy kursie 75 weźmie 25. Naodwrót, z podwyższeniem wartości rubla odpowiednio spadłaby cena produktów—o jakiemś powszechnem wzbogaceniu z tego powodu nie może być mowy. Wogóle, ten lub ów stan kursu jest rzeczą najzupełniej obojętną dla grup ludności, utrzymujących się z dochodów od produkcyi. Właściciel gruntu z podwyżką kursu mniejsze będzie otrzymywał nominalne dochody w papierach, robotnik — płacę; w gruncie jednak rzeczy za zmniejszone wpływy pieniężne dostaną dawną sumę przedmiotów użytkowych. Również i wszelkie podwyższanie podatków równomiernie ze spadkiem papierów w rzeczywistości jest fikcyą. Na spadku tracą jedynie wierzyciele i rentierzy. Kto wypożyczył przy wartości *al pari* i odbiera przy kursie 60, za dawną sumę dostanie jedynie $^2/_3$ dawnej ilości użytkowych rzeczy. Atoli jeżeli taki lub inny kurs papierów w swem ustaleniu jest czemś zgoła obojętnem, niepodobna już tego powiedzieć o dolegliwościach, sprawianych przez proces samego spadania warto-

*) Stosunek pomiędzy funduszem zapasowym w złocie a wartością wypuszczonych papierów zależy pomiędzy innemi od rozwoju instytucyj bankowych. W Anglii, dzięki istnieniu urządzeń w rodzaju Clearing House (wprowadzających zamiast bezpośredniej wypłaty, porównywanie bilansów), stosunek musi być większy, niż gdzieindziej. Zwiększenie ilości obrotów bilansowych, czyniąc pewną ilość papierów państwowych zbyteczną i zniewalając do ich wymiany, sprowadza zwiększenie funduszów zapasowych, lub, w razie niemożliwości, niewymienialność. W tym wypadku znajduje się po części Rosya.

---

porządkowi ludu, ale to nie obchodziło ani mnie, ani mojego apetytu. Usiedliśmy i spożyliśmy ucztę, pomagając sobie w niej palcami i scyzorykami w braku przyborów stołowych.

Jest to niedorzecznem, że dla tej damy nie umiem wynaleźć imienia. Właściwego nie mogę wymówić, nawet wysylabizować. Mogę ją nazwać moją żoną; „dziewica“ — niemodna u kafrów; gospodyni — za formalistycznie; rozetnijmy węzeł i nazwijmy ją „czarną pięknością.“

Czarna tedy piękność była w złym humorze i nie zważała na mnie. Doznałem przykrości, bo niewątpliwie czuła się obrażoną, że biały kapitan ją lekceważy, podczas gdy jej przyjaciołkom towarzysze jego składają wszelakie hołdy; ale nie przyszło mi nawet do głowy zająć się tą damą zatłuszczoną, cuchnącą, nagą, nieumytą i nieuczesaną.

Wróciwszy z polowania, znalazłem pełną chatę kobiet, a śród nich jedynego mężczyznę Kerta. Usiadłem na posłaniu i czekałem objaśnień, co znaczy to zgromadzenie, które, jak dostrzegłem, zebrało się na moją cześć, a przynajmniej w mojej sprawie. Czarna Venus siedziała obok swej matki. Ta otworzyła obrady długą i widocznie rozjątrzoną mową, w której często ukazywała na mnie i swoją córkę. Pod koniec spojrzała mi prosto w oczy, powtórzyła trzy razy te same wyrazy i usiadła zadowolona z miną młodego adwokata, przekonanego, że wywarł silne wrażenie na przysięgłych. Kert przetłomaczył mi tę mowę holenderszczyzną afrykańską. Przybliżenie brzmiała tak:

„Jestem matką kobiety, którą władca ci dał. Jej ojciec był ojcem Mapaara, a ich przodkowie byli władcami od czasu, jak wystąpiło plemię Bakalahari. Patrzcie, jak ona jest piękną, jak umie być posłuszną mężowi, gotować zboże i melony, przyrządzać kawę. Czemże obraziła kapitana z Londynu? Mapaar, dla uczczenia go, przeznaczył mu tę dziewczynę za żonę, dopóki tu przebywać będzie, i zgóry cieszył się, że od wielkiego kapitana otrzyma syna, którego na pamiątkę twoich odwiedzin w domu swoim wychowywać będzie. Ale biały kapitan wzgardził oblubienicą i rzucił czarny cień na jej rodzinę. Czem on usprawiedliwi swój postępek?“

Trzeba było wielkiego wysiłku, ażeby stłumić śmiech z tego oświadczenia. Ale sprawa miała stronę poważną. Położenie bowiem moje wobec krajowców mogło się stać bardzo przykrem, jeżeli się nie uniewinnię. Zrobiłem więc minę obojętną, nie zdradzając ani wesela, ani trwogi, powstałem, gdy Kert skończył, i rzekłem:

„Kapitan z Londynu cieszy się życzliwem przyjęciem u wielkiego plemienia i okazanym mu zaszczytem.“

Spojrzałem na Kerta, dając mu znak, żeby mowę moją przekładał dosłownie. Bo gdybym prawił długo a on tłumaczył potem, byłby na własną rękę dodawał i odejmował, podczas gdy przy tłomaczeniu dosłownem musiał być wiernym, ja zaś mogłem śledzić wrażenie na słuchaczach i stosownie do tego zmieniać ich nastrój.

„Piękna córka ojca Mapaara — ciągnąłem dalej — warta niewątpliwie najlepszego męża. Zaledwie ją ujrzałem olśniły mnie jej świetne oczy, a jej sztukę kucharską umiałem ocenić. Nie dla tego, że niegodna i niepiękna, ściągnąłem na siebie pozór lekceważenia jej i okazanego mi tym wyborem zaszczytu. Ale wielki lud Likutitungu (nazwa wsi) nie wie, że kapitan z Londynu nie zawsze to czynić może, co chce. Jako najwyższy czarodziej wielkiej królowej angielskiej nie powinien żenić się. Jeżeli poślubi córkę bakalaharów, straci moc przepowiadania dobrego i złego. Czuje on się wszakże bardzo zadowolonym, widząc ją obok siebie i doznałby wielkiej przykrości, gdyby ona go opuściła i pozba-

ści. Prócz strat, które wywołuje wśród posiadaczy kapitałów pieniężnych, nadweręża ona głęboko bieg życia ekonomicznego, gdyż z powodu niepewności wstrzymuje stosunki z zagranicą, nie mówiąc już o przejściach dla ogółu ludności, związanych z uregulowaniem się cen przedmiotów według nowego poziomu. Nie w niskim lub wysokim kursie spoczywa więc złe finansowe Rosyi — wobec stałej wartości towarowych jedynie zmienia się od tego nominalna cena produktów, lecz w ciągłem i bezustannem wahaniu się jego, spadaniu i podnoszeniu. Odpowiednio do tego zadanie uregulowania papierów sprowadza się nie do podniesienia kursu — rzeczy w stopniu najwyższym niedogodnej dla państwa i obojętnej dla całej ludności krom rentierów, lecz do ustalenia wartości papierów. A tymczasem liczne papiery konsolidacyi rubla, tj. częściowego wykupywania pieniędzy papierowych przez wypuszczanie swego rodzaju państwowych listów zastawnych, właśnie zmierzają ku pierwszemu. Skarb państwowy musiałby wtedy płacić 100 za długi zaciągnięte przy niższem notowaniu, np. 55. Jeszcze większe szkody sprowadziłby ów środek wśród prywatnych dłużników. Uiszczanie zobowiązań, zaciągniętych przy niższym kursie, równa się wprost ruinie masowej dłużników. Obywatel ziemski musiałby np. dla pokrycia dzisiaj zaciągniętych długów oddawać 100 zamiast 56. Skorzystaliby jedynie posiadacze kapitałów pieniężnych z uszczerbkiem wszystkich innych interesów prywatnych i publicznych. Powyższe uwagi i przykłady wskazują, jak ostrożnie należy postępować w snuciu wszelkich projektów podniesienia kursu rublowego. Jedno jest pewnem: reforma w tej mierze wyjść winna z uprzedniego zaprowadzenia zawierania umów według waluty metalicznej. Wypłaty i zobowiązania czynionoby w papierach, lecz wyrażano w odpowiedniej sumie w złocie; spłacając je przy innym kursie, czynionoby to według poprzednio znalezionej kwoty metalicznej. Dalsze próby utrwalenia kursu nie nadwerężałyby wtedy niczyich interesów i nie sprowadzałyby żadnych strat, prócz już wywołanych w dotychczasowym przebiegu zniżania. Po wprowadzeniu na stałe zawierania umów według waluty metalicznej, możnaby przystąpić do dalszego środka — dewalwacyi, tj. spłacania przez państwo pieniędzy papierowych według kursu dnia przez wypuszczenie innych seryj, zabezpieczonych przez wypłacalność w złocie. Lecz jakąkolwiek będzie reforma, pożądanem byłoby, iżby uskuteczniono ją jaknajrychlej i usunięto obecne wahania kursu w kierunku zniżki, tak szkodliwie odzywające się na całem życiu ekonomicznem.

L.

STATUT BANKU WŁOŚCIAŃSKIEGO
w Królestwie Polskiem.

(Dokończenie).

14) Jeżeli sprzedawane grunty nie miały urządzonej hypoteki, albo też, jeżeli się do sprzedania wyznaczały części wchodzące w skład majątku, to dla sprzedającego się gruntu, przed wydaniem z Banku pożyczki, winna być zaprowadzana osobna księga hypoteczna.

15) Dług z pożyczki z funduszów Banku i z kapitału użyteczności publicznej, zapisuje się na pierwszym numerze IV-go działu w wykazie hypotecznym; pretensye, stanowiące własność poprzednich wierzycieli hypotecznych, (art. 9) choćby nawet termin ich wypłaty jeszcze nie nadszedł, mają być obowiązkowo pokrywane z ceny sprzedanej za dobra.

16) Dobra, nabyte z pomocą Banku włościańskiego rolnego, aż do czasu ostatecznej amortyzacyi długu bankowego, nie mogą być sprzedawane bez zezwolenia Banku. Nabywanie tych dóbr, wyjąwszy wypadków sprzedaży przymusowej, może być dozwolone tylko osobom wskazanym w art. 2 niniejszych przepisów. Jeżeli takie dobra na zasadzie sukcesyi prawnej, z mocy testamentu, albo drogą darowizny przejdą do osoby, niepodchodzącej pod warunki art. 2, to spadkobierca lub obdarowany obowiązany jest otrzymane grunta w terminie rocznym, licząc od dnia otwarcia spadku, lub otrzymania darowizny, sprzedać osobie, mającej prawo do ich nabycia zgodnie z art. 2. Części nabytego z pomocą Banku majątku, które się dostały pojedynczym nabywcom, nie mogą podlegać dalszemu rozdrabnianiu w naturze na żadnej zasadzie, (tytule) ani w żadnej formie, jeżeli każdy z wydzielonych działów stanowi mniej niż sześć morgów miary nowopolskiej. Znajdujące się na gruncie domy i budynki gospodarskie nie mogą być sprzedawane oddzielnie od gruntów. Obciążanie dóbr jakiemikolwiek zobowiązaniami, prócz tych, jakie pozostały niespłaconemi przy kupnie poprzedniemu właścicielowi, nie jest dozwolonem.

17) Świadectwa o szczególnych klęskach, jakieby dotknęły dłużnika (art. 29 ustawy Banku włościańskiego), dające prawo do umorzenia kary za wniesienie nieterminowe rat spłaty, wydawane będą przez zarządy gubernialne do spraw włościańskich, na zasadzie uczynionego o to przedstawienia miejscowych komisarzy włościańskich.

II. Skład oddziałów Banku włościańskiego rolnego w guberniach Królestwa Polskiego ma być uformowany z prezydującego i jednego, a w razie znacznego rozwoju interesów, dwóch członków, mianowanych przez ministra finansów, stałego członka miejscowego zarządu gubernialnego do spraw włościańskich i członków z wyboru gubernatora każdej z gubernii, wchodzących w zakres działalności oddziału Banku.

III. Prezesom oddziałów Banku włościańskiego rolnego w guberniach Królestwa Polskiego wyznaczyć płacę w rozmiarze dwóch tysięcy pięciuset rubli rocznie każdemu (w tem rs. 1,800 pensyi i rs. 700 stołowych pieniędzy), członkom tych oddziałów mianowanym przez ministra finansów, utrzymanie i kategorye co do płac i haftu na mundurze, na równi ze starszymi referentami Banku, stałemu zaś członkowi zarządu gubernialnego do spraw włościańskich, pełniącemu obowiązki członka oddziału, dodatkową płacę w rozmiarze siedmiuset pięćdziesięciu rubli rocznie.

IV. Powiększyć skład rady Banku włościańskiego rolnego o jednego (czwartego) członka, upoważniwszy członka zarządu do spraw włościańskich w guberniach Królestwa Polskiego, zaliczonego do oddziału ziemskiego ministeryum spraw wewnętrznych, do uczestniczenia z prawem głosu w radzie Banku, przy rozstrzyganiu spraw o pożyczki na kupno gruntów przez włościan w rzeczonych guberniach.

V. Maksymalny rozmiar wydatków na utrzymanie rady Banku włościańskiego rolnego, ustanowiony w uwadze do rozkładu posad i wydatków zarządu tego Banku, oznaczyć na sześćdziesiąt pięć tysięcy rubli rocznie, a sumę ustanowioną w tym rozkładzie na utrzymanie kancelistów przy radzie Banku, na pięć tysięcy rubli rocznie.

VI. Z zaliczonego do specyalnych funduszów ministeryum spraw wewnętrznych kapitału użyteczności publicznej Królestwa Polskiego przenieść do dyspozycyi Banku włościańskiego rolnego dwa miliony rubli, z tem zastrzeżeniem, aby na przyrost tej części kapitału z zysków Banku odliczaną była corocznie część, odpowiadająca stosunkowi pomiędzy ogólną sumą wydaną z tego kapitału.

VII. Upoważnić ministra finansów, aby:

a) po uprzedniem porozumieniu się z ministrami: spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i dóbr państwa, ułożył i przedstawił do zatwierdzenia w ustanowionym porządku prawnym przepisy co do przymusowego egzekwowania od niewypłacalnych dłużników, którzy otrzymali pożyczki na kupno gruntów z Banku włościańskiego rolnego i z kapitału użyteczności publicznej Królestwa Polskiego;

b) wydał na zasadzie art. IV Najwyżej zatwierdzonej d. 18 maja r. 1882 opinii rady państwa o Banku włościańskim rolnym i z zachowaniem postanowień niniejszego prawa, instrukcye, przepisujące szczegółowe prawidła działalności Banku włościańskiego rolnego i jego oddziałów w guberniach Królestwa Polskiego.

Jego Cesarka Mość wyłuszczoną opinię Rady państwa w d. 11 kwietnia r. 1888 Najwyżej zatwierdzić raczył i wykonać rozkazał."

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PO ŚWIECIE.

VIII.

Osiemsetletnia rocznica założenia szkoły bolońskiej.

Było to piękne, podniosłe, krzepiące otuchę. Z wszystkich kawałów ziemi, miotających się właśnie i doskakujących do siebie w podrzutach nienawiści i wściekłości, dobrali się ludzie jednej wiary i rzekli: Nim

---

wiła zaszczytu swej obecności. Powinniście mnie żałować, a nie ganić, że jej za żonę wziąć nie mogę."

Wyznaję, że badanie twarzy moich słuchaczów nie uspokajało mnie wcale, gdym tę baśń im opowiadał. Czytelnicy osądzą również, że usprawiedliwienie było kulawe, ale żadne lepsze nie nasuwało mi się. Oczekiwałem wyroku czarnych sędziów. Przez chwilę panowało głębokie milczenie; nagle zerwała się jedna stara kobieta i wybiegła z chaty. Ciągle nikt się nie odzywał. Gdy zapytałem Kerta, jakim będzie najbliższy akt tego dramatu, wszedł Mapaar w towarzystwie dwu ludzi i kobiety, która wyleciała. Zdawało się, że wszedł sędzia dla wysłuchania wyroku przysięgłych i obrony, nie z ust moich lecz mojego zastępcy.

Wreszcie Kert oznajmił: Mapaar jest zupełnie zadowolony i polecił, ażeby dziewczyna u mnie pozostała; uważa on dla siebie za wielki zaszczyt, że ją u siebie zatrzymuję, skoro sam ją wybrał.

— Ale — zapytał władca — czemu czarodziej angielski nie może się żenić?

— Dlatego — odrzekłem — że przyjemności i obowiązki małżeńskie odciągnęłyby go od badań i upośledziły większy obowiązek względem naszej królowej. Musimy zrobić wiele obliczeń i przeczytać wiele dzieł poprzednich czarodziejów, co nam nie pozostawia czasu dla innych zajęć.

Zużytkowawszy ich przesąd na moją obronę, nietylko wygrałem sprawę, ale nadto zyskałem większą sympatyę u Mapaara i jego ludu, gdyż jako „pierwszego czarodzieja królowej" traktowali mnie z większym szacunkiem, niż jako „wielkiego kapitana Londynu."

Ale wyśliznąwszy się z jednego kłopotu, wpadłem niespodziewanie w drugi. Mapaar nie puścił mnie i zabrał do siebie, żądając, ażebym mu przepowiedział, jak wypadną w roku bieżącym deszcze. Naturalnie musiałem uledz, ale wymówiłem sobie zwłokę dla zbadania gwiazd i poradzenia się książek. Zachwycony był: przywołał czarną piękność i wypowiedział jej długie kazanie, którego skutek odbił się w czarującym uśmiechu na około jej obszernych ust.

Pokonałem więc przeszkody. Należało teraz skorzystać z czasu i przed wystąpieniem w roli proroka umknąć.

(D. c. n.).

się pożremy, sprobujmy, jakie to słodkie owo zachwalane zbratanie się ludów pod zbawczem godłem wiedzy. W zbratanie takie starzy, choć mówią i piszą, nie wierzą; ale młodzi wierzą i piją czar podobnej mrzonki wszystkiemi porami ciała, drżącego od zapału i uciechy.

Dnia 9 czerwca od godziny czwartej z południa dworzec boloński roił się tłumami mieszczaństwa i miejscowej uniwersyteckiej młodzieży w różnobarwnych beretach, pieszo i konno. Podniósł się pierwszy krzyk — potem drugi, trzeci: to pociągi przywiozły studentów z Neapolu, Genui, Florencyi, Padwy, Turynu, Medyolanu, Berlina, Lipska, Heidelbergu. Charakterystyczną ulicą pośród dwu szeregów portyków wjeżdża do miasta, na owy plac sławny cudnym Neptunem, *Giov da Bologna*, fantastyczny pochód. Na przodzie 32 jeźdźców, dalej orszak pieszych, dalej historyczna beczka turyńska ukwiecona, zaprzężona w cztery woły, z Bachusem i ponętną bachantką w towarzystwie o koźlich nogach satyra. Za nimi wół padewski w ofiarnym wieńcu, potem jeszcze wóz z figurą Cerery, wreszcie kilkadziesiąt powozów z gośćmi, między którymi zabobonną trwogę budzą najserdeczniejsi przyjaciele z potrójnego związku, wkraczający dziś na nowo do Italii, jak za Fryderyków i Karolów, z obnażonym butnym rapierem, błyszczącym wcale nieswojsko, a na tej biesiadzie pokoju dobywanym co chwila gestem rubasznym, rażącym człowieka przyuczonego do francuskiej grzeczności. Dziwią się włosi posiekanym twarzom i głowom przykrytym talerzykami, nasuwającymi uwagę, że nie talerzyki na głowach, ale te głowy właściwie leżeć by winny na talerzykach.

Uroczystości trwały dni cztery: d. 10 przyjęcie reprezentacyi w uniwersytecie, d. 11 odsłonięcie pomnika Wiktora Emanuela, d. 12 główny obchód jubileuszowy w Archiginnasio, d. 13 pamiątka odkrycia elektryczności zwierzęcej Galvaniego. Ponieważ godzi się opisać dokładnie to niezwykłe święto, postępujemy w porządku od pierwszej do ostatniej chwili.

W podwórzu uniwersyteckiem, ustrojonem w bandery wszystkich narodowości, przyjmował obcych profesorów i studentów piękną mową p. Pietri, z wydziału literackiego. Przypomniawszy główne momenty świetności uniwersytetu i znaczenie jego dla rozwoju prawa, zakończył nadzieją, „iż tryumf prawa w przyszłości złoży się na zjednoczenie wszystkich narodów w wielkie społeczeństwo; a jak niegdyś sama siła prawa — choć śród przesądów średniowiecznych — zdolna była powstrzymać gwałty cesarskie, tak w przyszłości, z postępem cywilizacyi ludów, potrafi ona przemódz źle pojęte samolubstwo i rywalizacyę i zdoła precz przegnać barbarzyństwa wojny!“

Przemawiali po nim: dr. Arcalis z Aten; przedstawiciele Lipska, Berlina (po niemiecku), Rzymu, Parmy, Gratzu.

Komiczne wrażenie z chybionej mowy prof. Panzacchiego, wypowiedzianej w teatrze, a przerywanej dość niepobłażliwie w mozolnie wypracowanych ustępach o „starych ziemiach i starych domach z terrakoty, które do was mówić się zdały..“ itd. gwarem nieco już podchmielonej młodzieży — zatarło przyjęcie studentów, francuzkich, angielskich i niemieckich, którzy nadjechali popołudniu, a w których powozy wprzężono się zamiast koni. Poprawne i delikatne obejście się wychowańców Sorbony onieśmielało nieco niemieckich burszów, nadrabiających uczoność miną junacką; a była to rzecz ciekawa obserwować tych synów dwu cywilizacyj, schodzących się z sobą tak rzadko na pokojowym gruncie.

W drugim dniu odsłonięto nowy spiżowy posąg Wiktora Emanuela na placu tegoż nazwiska; była to jednak manifestacya raczej polityczna, na której nie brakło oczywiście aluzyj do *Roma intangibile*, Rzym nietykalny.

Trzeci dzień był punktem szczytowym doniosłego święta; już nie w gmachu uniwersyteckim, ale w prastarem *Studio*, okolonem renesansowymi portykami, pełnem bogatych rzeźb i fresków, przygotowano trybuny dla królewskiego domu, dla ministrów, profesorów, wreszcie mównicę dla bohatera dnia, poety Carducciego. Przez ulice, wiodące od uniwersytetu ku Archiginnasio, między portykami, obok biskupiego pałacu, obok dwu wież, nachylonych ku sobie tak dziwacznie, przesunął się orszak, jaki nieprędko obaczy którakolwiek ze stolic świata. Profesorowie najsławniejszych uniwersytetów Europy, a nawet Azyi i Ameryki, w różnobarwnych i różnokształtnych togach i beretach; insygnia i banderye studenckie, każda witana sympatycznym okrzykiem; z okien sypały się na nich gałązki dębu i wawrzynu. Weszli królestwo z następcą tronu, odegrano hymn Franchettiego, poczem po okolicznościowych przemowach rektora Capelliniego i ministra Boselliego odezwał się — Carducci. Niepodobna nam określić, do jakiego stopnia podniesionym bożyszczem jest ten człowiek dla dzisiejszej młodzieży; nie dlatego, że jest poetą-artystą, ale że jest poetą nawskróś nowoczesnym, nawskróś narodowym, że w nim streściły się wszystkie dążenia odrodzonej Italii, jedynej w Europie monarchii, zrywającej z średniowiecznem pojęciem królewskości, opartej o „bożą wolę“ i wyobrażającej nie *rządzenie*, ale *panowanie*. Wyobraźcie sobie człowieka krępego, o grubych rysach twarzy prawie pospolitej, stojącego teraz na trybunie w todze, podwijanej ciągle ruchem nerwowej dłoni. Głos jego dźwięczny, choć wymowa niegładka; styl oryginalny ciągłem przestawianiem członów w składni zdania; wywody logiczne, szeregowane jak uderzenia młotów w kuźni; czasem poryw namiętny i giest jakiś tytaniczny, przejmujący; zdaje się, że ten mistrz porwałby za sobą na armaty nawet podłe tchórzliwego włocha! Takim jest największy dziś poeta Italii, autor tomów: *Juvenalia, Levia-Gravia, Decennalia, Nuove Poesie, Odi Barbare, Nuove Odi Barbare*. Pierwsza część mowy zawierała w świetnych zarysach historyę bolońskiej szkoły; żaden z poprzednich mówców nie przedstawił jej w tak wspaniałych i dalekonośnych uogólnieniach; druga część była znów apoteozą „nietykalnego Rzymu.“

Szkoła bolońska — mówi Carducci — była pierwszym objawem powstania tego ludu z ruin starożytnej wielkości do swej drugiej historyi. Tradycya ksiąg prawa przeniosła się z Rzymu do Rawenny, z Rawenny do Bolonii; tam poczęło się publiczne nauczanie prawa rzymskiego, tam Irnerius, jak podają kroniki, odnowił księgi Justyniana i stały się świecznikiem powszechnego prawa. Choć jednak odnowił je na instancyę hrabiny Matyldy, walczącej za kościół przeciw cesarstwu, to przecież po uspokojeniu się wypadków tradycya i jej boloński następca powrócili do źródła powagi, do cesarstwa. Stwierdza mówca po kilkakroć to oparcie zasady restaurowanego prawa na cesarstwie, poczem zaznacza demokratyczny charakter bolońskiej szkoły i bolońskich szkolarzy a przypomniawszy rzeszę tych zagórców, którzy z ciasnoty feudalizmu przybywali tutaj uczyć się wolności, woła: „O Italio, ojczyzno moja! śród mąk niewoli lubo było przypominać cię uwalniającą z siedmiu pagórków lot orłów zwycięzkich ponad wszystkie ludy; lecz może ty byłaś bardziej ludzko piękna tu w Bolonii, gdy ludom, które cię uciskały, podniosłszy się, odmykałaś źródła cywilizacyi nowej i oswobodzone z jarzma ciemnoty pouczałaś, jaki to zaszczyt stać się rzymskiemi. Bolońskiemi były zrazu początek i historya szkoły, lecz już w drugiej połowie XII w. stała się ona włoską, przyciągającą z całego półwyspu profesorów i uczniów; wraz obok prawa zakwitły sztuki wyzwolone: filozofia, filologia, medycyna, poezya i nauka; z wesołej Prowancyi i Francyi bohaterskiej schodziły się trubadury i truwery; tu Guido Guinizzeli nadawał formę narodową rymom ludowym, tu Dante Alighieri pisał wiersze miłosne. Chwalę renesansu mówca już pomija; chciał przypomnieć jedynie pierwsze odrodzenie się włoskiego ludu i z tej świetnej przeszłości na przyszłość dobre postawił wróżby. Zwracając się zręcznie do Rymu, mówca odzywa się: „Italia pamiętna i wdzięczna, że jej piękne imię rosło z Rzymem, chce chodzić zawsze i wszystkiemi drogami do Rzymu: w wiekach średnich — prawem; w Odrodzeniu — sztuką; w wieku naszym — polityką. Niezawisłym, wolnym i zjednoczonym chce Rzym stać się na nowo; a jeden z naszych wielkich ojców czuł bardziej niż wszyscy tę konieczność dziejów Italii: Giuseppe Mazzini, który jaśniejsze niż wszyscy miał widzenie trzeciej Romy, nie arystokratycznej, nie cesarskiej, nie papieskiej, lecz włoskiej. Więc Italia biła tak uparcie do wrót Rzymu, że znalazła się w Kwirynale i na Kapitolu. Do takiego zaszczytu doprowadziły ją: świętość zapału i poświęcenie niewidziane w innej historyi: republikana monarchisty, monarchy rewolucyonisty, dyktatora sługi: Wiktora Emanuela, spiskującego łącznie z Józefem Mazzinim i Józefem Garibaldim.“ Potem zwraca się do króla: „Ty rzekłeś, najjaśniejszy panie: Rzym nietykalny. Tak, królu, nietykalny dla ludu włoskiego i dla wolności drugich.“

Mowę Carducciego przyjęto — rzec nie można inaczej — rykiem entuzyazmu, a ma ona niezwykłe polityczne znaczenie jako silny głos nieśmiałej dotąd kontr-demonstracyi przeciw Watykanowi; samo odsłonięcie pomnika Wiktora Emanuela — jak zamierzono — nie byłoby znalazło tak donośnego echa: połączenie go z obchodem jubileuszowym najstarszej prawodawczej wszechnicy było bardzo silnem osadzeniem kwestyi rzymskiej na prawie.

(D. n.)

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

Jakie to są rzeczy na ziemi i na niebie, które się nie śnią naszej filozofii?

(Dokończenie).

Wiedza nasza, jakkolwiek maluczka w porównaniu z tem, jaką będzie w przyszłości, posiada przecież pewne uogólnienia, które nadają jej charakter trwałości, pewne zasady, które są wytycznemi dla przyszłych zdobyczy naukowych. Oparci na tych zasadach, możemy do pewnego stopnia zgóry zawyrokować, co jest prawdą, a co fałszem, co faktem rzeczywistym, a co zmyśleniem. Jedyną ostrożnością, jaką w tym wypadku powinniśmy zachować, jest ściśle odróżnianie faktu od jego tłomaczenia. Fakt może być prawdziwym, a fałszywem tylko jego tłomaczenie. To odrzucając, nie mamy jeszcze prawa zaprzeczać tamtemu. Jednakże, zanim fakt sam nie zostanie stwierdzonym naukowo, dokładnie określonym we wszystkich czynnikach, jakie się nań złożyły, potąd nie możemy nic o nim powiedzieć i wszystkie swe sądy musimy do pewnego czasu zawiesić. Spirytyzm, jako teorya, usiłująca wytłomaczyć w sposób sobie właściwy pewną grupę zjawisk, których przyczyny w tej chwili odgadujemy, musimy odrzucić, jako zostający w przeciwległej sprzeczności z najwyższemi uogólnieniami powszechnego doświadczenia; ale nie mamy prawa odwracać się z pogardą od faktów, na których spirytyzm opiera swą naukę. Zanim one uznane zo-

staną za zwykłe sztuczki zręcznego kuglarstwa, potrzeba je zbadać z całą ścisłością, na jaką stać obecne metody naukowe. Przed laty kilkudziesięciu wszystkie objawy hypnotyczne zaliczano ryczałtem do szarlatanizmu — dzisiaj uznano je za rzeczywiste, dzięki naukowemu sprawdzeniu, chociaż dotąd jeszcze nie umiemy ich dostatecznie wytłomaczyć.

Jakież to są owe uogólnienia, do których musimy się odwoływać zawsze, kiedy, nastręczają się nam pewne wątpliwości przy rozważaniu niezwykłych faktów? Jakież są zasady, które powinny być dla nas jedynym punktem wyjścia w ocenianiu wiarogodności podań i opowiadań, tudzież prawdopodobieństwa wyjaśnień i tłomaczeń tego, co na razie zdaje się być niewytłomaczonem?

Uogólnieniami temi i zasadami są prawa przyrody, będące zarazem prawami myślenia naszego, które wprzód, zanim zostały wykryte i określone przez naukę, wypowiadały się w codziennem doświadczeniu człowieka i w jego instynktowej wierze, z jaką przystępował do działania w przewidywaniu tego, co może nastąpić w bliższej lub dalszej przyszłości. Są niemi: stałość i jednostajność praw przyrody, niezniszczalność materyi, trwałość energii i ciągłość ruchu.

Geologia, paleontologia i astronomia dostarczają nam niezaprzeczalnych dowodów, że świat dostępny naszemu poznaniu od najdawniejszych czasów, które tylko za pomocą przybliżonego wyrachowania na podstawie danych naukowych dają się oznaczyć, podlegał tym samym prawom, jakiemi się obecnie rządzi; że prawa te, sprawdzane codziennie przez doświadczenie na całej przestrzeni kuli ziemskiej, panują również w przestrzeniach zaziemskich, tych przynajmniej, które poznaliśmy zapomocą teleskopu i polaryzatora. Władając w ciągu conajmniej kilku tysięcy lat niezmiennie, dają przez to samo rękojmię, że i na przyszłość pozostaną trwałemi, że nie są czemś narzuconem światu z góry i zależnem od przypadku lub kaprysu, lecz po prostu wypadkową własnością składowych swych części, o tyle konieczną i niezmienną, o ile koniecznemi i niezmiennemi są własności żywiołów, z których składa się przyroda.

Zasada stałości praw przyrody jest najwyższą i najogólniejszą. Zawiera ona w sobie wszystkie inne, a przynajmniej uświęca je. Stanowi ona podwalinę tak wiedzy naszej, jak i całej praktyki życiowej. Pomimo że jest wynikiem doświadczenia, jest ona dla szerszego umysłu prawdą konieczną, nie w tem znaczeniu, jakoby stanowiła pierwiastek naszego myślenia *a priori*, ale w tem, że jako wiara instynktowa powstaje w umyśle z pierwszem doświadczeniem i towarzyszy mu stale i niezmiennie. Umysł bowiem, będąc bezwładnym wobec doświadczenia, wie tylko to, co mu ono daje poznać, a pomyśleć nawet nie może o czemś, coby temu doświadczeniu wprost było przeciwnem. Znając z przeszłości, jaki jest porządek znanego mu świata, musi on oczekiwać potwierdzenia tego porządku i od przyszłości. Oczekiwanie jego usprawiedliwia każde nowe doświadczenie — i w ten sposób utrwala w nim wiarę w stałość powszechnego porządku i uczy go przewidywania i przezorności. Wiara ta instynktowa, mająca swój początek w doświadczeniu, którego umysł prześcignąć nie może, wraz z tem doświadczeniem rozwija się i przychodzi w końcu do uświadomienia siebie, jako zasada rozumowa, wyrobiona naukowo i oparta na dowodach niezaprzeczalnych.

Pomiędzy prawami przyrody, stałemi i niezmiennemi, najgłówniejsze z nich są:

1) Niezniszczalność materyi, która oznacza, że materyi ani z niczego stworzyć, ani w nic obrócić nie można, czyli że ilość istniejącej w świecie jest zawsze równa sobie i wieczna.

2) Trwałość energii, która oznacza, że wszystkie znane nam siły są objawami istniejącej we wszechświecie jedynej energii— wiecznej i zawsze równej sobie, będącej w swej istocie nie czem innem, jak ruchem materyi. Do zasady trwałości należy także prawo przyczynowości, mocą którego każdy objaw siły, czyli po prostu każde zjawisko musi być poprzedzonem przez inne ilościowo mu równoważne. Stąd skutek musi być równym pod względem ilości swej przyczynie.

3) Ciągłość ruchu, czyli, jak dawniej mówiono, prawo ciągłości. Podług tej zasady, ruch ani stworzonym, ani zniszczonym być nie może i przechodząc od jednego punktu do drugiego, musi przejść wszystkie pośrednie. Ponieważ wszystkie zjawiska świata zewnętrznego i wewnętrznego w podstawie swej nie są czem innem, tylko różnemi formami ruchu, przeto w zastosowaniu do nich prawo ciągłości znaczy, że każde zjawisko, zanim dobiegnie do swego końca, musi przebiedz wszystkie stopnie pośrednie między nim a swym początkiem. Innemi wyrażając się słowy: przyroda nie zna przeskoków.

Te są zasady, któremi musimy się kierować w ocenianiu tego, co mamy uważać za prawdę, a co za fałsz. Są one uogólnieniami doświadczenia, posiadającego dane stałe i niezmienne, pomimo zmian czasu, miejsca i okoliczności i dlatego są prawdami koniecznemi w wyższym stopniu, niż gdyby były prawdami *a priori*. Są one bowiem prawami zarówno przyrody, jak i myślenia. Raz uświadomione w pełni przez myśl ludzką, stają się dla niej koniecznemi w tem znaczeniu, że nic im przeciwnego pomyśleć nie można. Dzieje się to wskutek tego, że umysł, będąc uorganizowanem doświadczeniem, nie może przekroczyć jego danych, jest wobec nich bezwładnym. Prawdy te są dla niego ostatecznym sprawdzianem wszystkich faktów i wszelkich zapatrywań. Co z niemi zostaje w sprzeczności, co je gwałci pod jakimkolwiekbądź względem, musi on to uznać jako złudzenie, przywidzenie, uprzedzenie, jako przesąd i fałsz. Na nich, jako na niezachwianych fundamentach, opiera się cała filozofia doświadczalna.

Filozofia ta przekonana jest głęboko, że poznanie ludzkie nie wyczerpało wszystkiego, co się kryje w tajnikach przyrody, że są jeszcze na ziemi i niebie rzeczy, o jakich dotąd ani się jej przyśniło; ale zarazem jest pewną, że kiedyś przyśnią się jej i pod jej zaklęciem staną się rzeczywistością.

Przyroda swych cudów darmo nie objawia człowiekowi. Potrzeba je drogo opłacać, nabywać jeden po drugim kosztem mozolnej i wytrwałej pracy, ceną ofiar i poświęceń z przyjemności życia, a nierzadko i samem życiem. A i wtedy nawet otwiera ona swą skarbnicę tylko pod przymusem. Ażeby ją zniewolić do tego, potrzeba wykraść jej tajemnice, podpatrzeć jej zwyczaje, sposoby działania, poznać dokładnie wszystkie siły, jakiemi rozporządza i podbić je pod swe panowanie. Tylko zapomocą własnych jej sił można ją nagiąć do posłuszeństwa, wydobyć z niej to, co w swem łonie ukrywa — i w ten sposób zmusić ją do urzeczywistnienia cudów, które przyśniły się filozofii.

I w tem właśnie leży główna różnica między cudami, które śnią się filozofom, a tymi, które śnią się nie-filozofom, że te ostatnie dokonywają się za darmo, niespodzianie, bez żadnego związku między sobą— i tak pod względem swej formy, jak i treści są żywem zaprzeczeniem stałości praw przyrody, jawnym gwałtem, zadanym prawu niezniszczalności materyi, trwałości energii i ciągłości ruchu.

Władysław Kozłowski.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

IV.

Benjaminek nowszej nauki.—Dzieło Van Endego.— Zwierzę założycielem religii. — Śmierć Guyau'a. — Dziewiętnastoletni laureat Akademii. — Jego pisarska działalność. — Wartość dzieła o etyce angielskiej.

Pierwociny wierzeń religijnych są benjaminkiem wielu umiejętności: socyologii, antropologii, lingwistyki, psychologii, i wydały w ostatnich kilkudziesięciu latach kilka pięknych zarysów. Znasz pewnie śliczną ewolucyę Spencerowską, w której urządzenia państwowe, religijne oraz zwyczaje i obyczaje przedziwnem szczeblowaniem wyprowadzane są z pierwotnych pojęć o śnie i starszej jego siostrze — śmierci; powiadam „śliczną," gdyż więcej w niej złudnego powabu i zdradzieckiego zjednywania czytelnika, niż ważkich dowodów faktycznych. Według innych znowu teoryj źródłem mitów jest tajemnica zapładniania i rodzenia potomstwa, obawa i nadzieja dobra lub zła, płynącego dla człowieka ze świata otaczającego itp. Znakomity Tylor, który tak żarliwy prowadził spór ze Spencerem o pierwszeństwo zasadniczych pomysłów, wysuwa na czoło tak zwany animizm, polegający na przypuszczeniu, że plemionom dzikim, a także dzieciom i poniekąd nawet ludziom dorosłym a ucywilizowanym właściwą jest skłonność upatrywania duszy w przedmiotach martwych, i ona to ma dawać początek mitom. Otóż ostatnią próbą wyświetlenia ciekawej tej sprawy jest wyszłe w końcu roku zeszłego dzieło Van Endego, zatytułowane *Historya naturalna wiary*, część I-a, „Zwierzę" *).

Za punkt wyjścia uczony ten przyjmuje właśnie hypotezę Tylora, ale też rychło się od niej oddala. Człowiek, według niego, na wszelkim stopniu swego duchowego rozwoju potrafi dobrze odróżniać materyę bezwładną od ożywionej. Dla dzikiego, nie martwa rzecz jest istotą czynną ale zamieszkały w niej duch albo geniusz. Dążność zatem upatrywania we wszystkiem duszy nie należy do stanów najwcześniejszych u człowieka, u niego bowiem już zanika, żeby zaś odnaleźć ją, potrzeba cofnąć się wstecz po drabinie organicznego rozwoju.

Ale wtedy dowiodą fakta, że i zwierzęta mają jasne poczucie różnicy między tem, co bezwładne z natury swej, a tem, co żyje. Łatwo dostrzedz, że całkiem inaczej zachowują się wobec pierwszych, niż wobec tych ostatnich; tam ich ruchy są zawsze jednakie, tu coraz inne, urozmaicone, do każdego pojedynczego wypadku odpowiednio zastosowane. Van Ende usiłuje przekonać, że zwierzę nie daje się wprowadzić w błąd nawet tymi wytworami przemyślności ludzkiej, które swym mechanizmem robią wrażenie istot obdarzonych duszą. Po czemże więc poznają one naturę przedmiotu? Poniekąd po cieple, które wydaje z siebie wszelkie stworzenie żyjące — ale głównie po głosie i ruchu. Dlatego to postawa ich przy zetknięciu się z tworami ruchomymi i wydającymi szmer jakiś, szelest lub szum, zdradza uczucie strachu. Strach wogóle jest ich nastrojem normalnym wobec wszelkiego życia — na odwagę zdobywają się tylko w ostatecznem niebezpieczeństwie; pozorna łagodność występuje również pod wpływem obawy ulegnięcia przemocy: męztwo i okrucieństwo cechują je tylko wobec istot słabszych i bezbronnych lub pod naciskiem zaostrzonych potrzeb fizyologicznych.

Tę to zdolność odróżniania stworzeń żywych, całkiem gotową i ukształtowaną, człowiek odziedzicza. Ale... bardzo często nie dochowuje jej wiary a wówczas wpada

---

*) Podajemy według *Revue philosophique*, zeszyt marcowy.

w prawdziwy animizm i boi się zarówno przedmiotów nieożywionych. Że jednak — tu spoczywa punkt ciężkości całej tezy — taki sam lęk zdarza się i u zwierząt, przeto aż do zwierząt należy odnieść prawdziwy początek wierzeń i instynktów fetyszystycznych. Jak widziałeś, data animizmu, według Tylora jest znacznie późniejsza.

Spójrzmy na to samo zjawisko z punktu widzenia psychologicznego a cóż okaże się? Że sprężyny duchowe, logiczne, warunkujące narodziny mitów, w całej swej pełni są już dziełem naszych poprzedników w ewolucyi, bez obłudy i fałszywego wstydu mówiąc, zwierząt. Już one mają ideę niebezpieczeństwa, śmierci i życia i to nawet w stopniu bardzo wysokim; już one posiadają dar wnioskowania przez analogię i ta właśnie analogia każe im uciekać przed takiemi zjawiskami, jak trzęsienie ziemi, jak zmiany meteorologiczne; już one czują, czem grozi lub co obiecuje światło i ciepło, a Van Ende idzie o wiele dalej i zapewnia, że przeczuwają prawidłowość wschodu i zachodu słońca.

Rzecz prosta iż zdolności te w organizacyi ludzkiej potęgują się niezmiernie i dopełniają tak potężnymi czynnikami, jak kojarzenie pojęć, mowa i umiejętność wyrabiania narzędzi; osobliwie dwie te ostatnie przewagi charakteryzują człowieka i one to zapewniły mu stanowczy tryumf nad królestwem zwierząt. Van Ende przypuszcza, że je zawdzięczamy przejściu z życia leśnego, kiedy drzewa służyły za siedzibę, do życia polnego. Wierzy on, iż zmiana taka zaszła kiedyś i uczyniwszy walkę z nieprzyjaciółmi znacznie trudniejszą, dała silnego bodźca rozwojowi instynktów samozachowawczych i wynalazczości; ona też uczyniła niezbędnem dokładniejsze rozróżnianie groźnych istot za pomocą czasu, utrwaliła postawę prostopadłą do ziemi i wydelikatniła tem samem zmysł spostrzegawczy.

Zobaczymy w swoim czasie, co przyniesie druga część ciekawych tych poszukiwań.

Tymczasem wypada spłacić daninę pamięci człowieka, o którym nieraz na szpaltach tych gawędziliśmy z tobą, czytelniku, a którego śmierć wszystkich szczerych miłośników filozofii zasmucić powinna głęboko. Mam na myśli M. Guyau'a. Jeszcze kilka tygodni temu zaledwie trzydziestotrzyletni snuł on pilnie przędziwo myśli, które rozwinął przedtem w kilku dużej wartości książkach, a dziś zdobi panteon lepszych myślicieli Francyi tylko cień jego. Była to pierwszorzędna zdolność pisarska, ruchliwa, żywotna, pełna humanitarności i gruntownej wiedzy, i wybujała przedwcześnie. Głośne dzieło jego *Etyka Epikura w stosunku do doktryn współczesnych*, stanowiąca pierwszą część wielkiej pracy, której druga połowa obeszła świat p. n. *Współczesna etyka angielska* była swego czasu (1873) uwieńczona przez Akademię nauk państwowych i moralnych w Paryżu, a co najdziwniejsza, napisana w *dziewiętnastym* roku życia! Kto nie wierzy, niechaj przeczyta wstęp z przed lat trzech, w którym okoliczność tę sam przytacza dla usprawiedliwienia pewnych zmian, zaszłych w jego poglądach następnie.

Nie zawaham się powiedzieć, że systematyczną znajomość dziejów i kolei utylitaryzmu brytańskiego od Benthama do Spencera i Baina większość zawdzięcza Guyau'owi, a ojczyźnie swojej przysłużył się on szczególnie. Zasada pożytku i szczęścia, ta rzetelna chluba filozofii wyspiarskiej, przez „nieśmiertelnych“ bywała poniewierana, na jej rachunek szły niesmaczne wycieczki i tępe krytyki, oparte na niepośledniej ignorancyi. Jakkolwiek Guyau sam wyznawcą owych szkół z za morza nie był, to jednak rozumiał je i cenił złożony w nich ogrom spekulacyi, pomysłowości i nauk. Postanowił oczyścić je z niesprawiedliwych zarzutów i po raz pierwszy wyłożyć wyczerpująco a sumiennie wykształconemu ogółowi, choć w konkluzyach ostatecznych zamierzał zająć stanowisko całkiem odrębne. Jak się z tego zadania wywiązał, widać z mnóstwa pełnych zachwytu recenzyj, między któremi figuruje takie oto zdanie Spencera: „nie ma nigdzie, nawet w Anglii, historyi utylitaryzmu, równie zupełnej i równie wiarogodnej.“ A w raporcie, przedstawionym Akademii, przez prof. Caro (niedawno też zmarły), którego o sympatyę dla utylitaryzmu nikt chyba nie posądzi, po długim na parę stronic szeregu przychylnych uwag znajdujemy taką kwintesencyę: „Wypada nam pochwalić bez zastrzeżeń wiedzę autora, czerpaną u samych źródeł, jego nieprzebrane bogactwo argumentów, rozmaitość punktów widzenia a nadewszystko dar wymowy... Niektóre z argumentów, użytych przez autora, zostaną w nauce na zawsze... itd.“

Jak nieboszczyk sam powiada w przedmowie, streszczając filozofów angielskich, był ich przyjacielem — a dopiero w krytyce odbiegł od nich. W rzeczy samej nie wierzy on w „organizm moralny“ Spencera i Darwina; jest pewien, że instynkt, dziedzicznie przekazywany, zamiast potęgować się, w miarę rozwoju słabnie i przekształca się w samowiedzę, analizę i sceptycyzm, które mogą być dla sprawy moralności niebezpiecznemi. Prawdziwym probierzem moralnym jest dla niego sama idea etyczna, a nie utylitarne dobro, a najlepszem wychowaniem kształcenie woli. Rozwinął on i uzupełnił swój pogląd w osobnem, znacznie później wydanem dziełku p. t. *Zarys etyki bez sankcyi i zobowiązania* (przymusu moralnego). Zamiłowanie do tego samego rodzaju dociekań popchnęło go do napisania *Studyum o filozofii Epikteta*, a już w ostatnich czasach wydał bliżej znane czytelnikom *Prawdy* dzieło *Zagadnienia estetyki współczesnej*, gdzie językiem pięknym i z wielkiem poczuciem poezyi usiłował wykazać blizkie pokrewieństwo pojęciowe piękna z pożytkiem i prawdą, oraz obalić wróżbę zaniknięcia poezyi. Wreszcie w roku zeszłym ogłosił *Bezreligijność przyszłości* (*L'irreligion de l'avenir*), z większym talentem niż naukową trzeźwością usystematyzowany szereg wróżb, zgodnych z duchem dzisiejszego wieku. I o tym utworze, sprawcy wielkiej wrzawy, w „Gawędach“ obszerniejszą zamieściliśmy wzmiankę.

Szkoda tego pięknego krzewu, który usechł w dobie najpiękniejszego rozkwitu, gdy tyle jeszcze pysznych owoców miał przynieść.

N. Hirszband.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

J. Zacharyasiewicz. *Wiktorya Regina.* Ze wspomnień narzeczonej, Warszawa, str. 312.
— *Herb na giełdzie*, Warszawa, str. 112.
Antoni Kudasiewicz, *Nowele i arabeski*, Warszawa, str. 150.

Przed laty krążyło po krytycznych fejletonach pism niemieckich spostrzeżenie, któremu nie można było odmówić trafności i dowcipu. Brzmiało ono tak: „Jeżeli przeczytasz dwie powieści, które będą do siebie podobne, a następnie wpadnie ci do rąk trzecia, niczem od poprzednich nieróżniąca się, to bądź pewien, że wszystkie te trzy utwory wyszły z pod pióra Idy Hahn.“

Taki sam sąd nasuwa się na myśl, ile razy zmuszeni jesteśmy przeczytać kilka powieści p. Zacharyasiewicza, jedną po drugiej. Rozumie się, że powinna wejść tutaj w rachubę pewna odmiana owego wyroku, zależna od różnicy płci, temperamentu i pochodzenia. Przytem trzeba zrobić jeszcze jedno zastrzeżenie niemałej wagi, które na działalność pisarską twórcy *Św. Jura* i *Nemezys* inne, bardziej różowe rzuca światło. P. Zacharyasiewicz jest ostatnim z Mohikanów, dzieckiem epoki, którą my znamy tylko z opowiadań ojców lub dziadków naszych. Jego powieści — bądźmy szczerzy — robią dzisiaj wrażenie wykopalisk. Są cenne dla badacza dziejów literatury, lecz ogółu zająć i poruszyć nie zdołają, gdyż pozostały w tyle za jego dążeniami, pragnieniami i uczuciami. Tak jest dzisiaj. Dawniej atoli było inaczej. Wtedy, kiedy p. Zacharyasiewicz stał na progu swego pisarskiego zawodu, w Galicyi działo się bardzo źle. Szlachta — o niej możecie nabrać całkiem prawdziwego wyobrażenia z powieści Dzierzkowskiego — gniła w ospałem lenistwie i traciła mienie na karty i hulanki. Rok czterdziesty szósty wydał krwawe świadectwo umysłowej ciemnoty ludu, ciemnoty nie z jego grzechu zrodzonej. Po miastach panoszyli się urzędnicy niemieccy, zniemczono Bemaki, wysysający kraj im podległy i ogłupiający go wedle sił i możności. W takich czasach i w takiem położeniu chwycenie za pióro stanowiło prawdziwą obywatelską zasługę. Wytrwać wśród podejrzeń Bemaków i nie zniechęcić się obojętnością społeczeństwa, było dowodem serca nieobrosłego tłuszczem samolubstwa, dowodem odwagi cywilnej i niezmiernego zamiłowania do raz obranego kierunku pracy. Chęć rozbudzenia życia umysłowego w owej Galicyi, uśpionej lenistwem tak umysłowem, jak i fizycznem, wprowadzenie jej w ruch, stanowi niespożytą zasługę Zacharyasiewicza.

Powieści swe wzorował na niemieckich *Sitten - und Familienromane*, odtwarzając w nich przeważnie życie szlachty lub inteligentniejszej warstwy mieszczańskiej. Z utworów tych można osądzić i autora i społeczeństwo, które maluje. Umysł to nie głęboki, niemający skłonności do filozofowania. Wykształcenia wielkiego nie widać, tu i owdzie tylko natrafisz na ziarnko obserwacyi bezpośredniej, wziętej z otaczającej go rzeczywistości. Stąd rzadko dotyka on spraw społecznych, a najchętniej obraca się wśród stosunków towarzyskich. Walczy przeciwko konwenansowi, wypowiada gorzkie prawdy obłudzie towarzyskiej, zostawiając na boku palące zagadnienia społeczne, społeczne życie i społeczne choroby. Jest najszczęśliwszym i najzgrabniejszym wtedy, gdy przędzie pajęczą nić rozmowy dwojga kochanków, pragnących się pobrać, a spotykających liczne i niespodziewane przeszkody. Lecz takim, jakim był, podobał się właśnie i zachwycał ówczesną publiczność. Czytanie jego powieści nie zmuszało jej do głębszego myślenia, do zastanawiania się, bo pojmowano łatwo owe sytuacye proste, styl gładki, lecz zwyczajny, porównania trochę zużyte, a więc znane.

Lecz teraz taka np. *Wiktorya Regina*, będąca przedrukiem, nikogo zachwycić i zająć nie zdoła, bo każdy spostrzeże, że i bohaterka sama, i p. Cezaryusz, i całe otoczenie — to manekiny, niezręcznie wyciosane z drzewa i ubrane w pozłocisty szych. Widzimy, iż umieją oni mówić i nieraz ładnie, lecz mimowoli przychodzą nam na myśl pozytywki i kataryniki, które grają za pociśnięciem sprężyny lub obróceniem korby.

Mało różni się techniką niedawno napisana powieść p. t. *Herb na giełdzie*. I tutaj mamy owe dyalogi salonowe, nikłe, wątłe, bezkrwiste, owych szlachciców, grywających z księdzem proboszczem w maryasza, owe panny, marzące tylko o dobrem zamążpójściu i cały legion mam, ciotek, przyjaciołek — plotkarek. Tętni tutaj wprawdzie trochę więcej życia, aniżeli w *Wiktoryi Reginie*, lecz za to fantazya autora nie liczy się z rzeczywistością i koniec powieści przetwarza w ustęp, godny francuzkiej farsy, niemożliwy w naszych stosunkach. Mogło

to bawić niewybrednych czytelników *Biesiady*, w której ta powieść po raz pierwszy ukazała się, poważniejszemu przecież człowiekowi nasunie szyderczy uśmiech na usta. Tu i owdzie atoli dostrzegasz ostrożną krytykę dążeń szlacheckich, pragnących autonomię i parlamentaryzm przekształcić na krowę, której mleko ma służyć na podratowanie zniszczonych majątków. Wielka zaiste szkoda, że autor tematu owego na tej właśnie kanwie nie rozsnuł. Byłby z tego pożytek daleko większy, aniżeli z opisu, w jaki sposób karmazyn Józef Strzemię za pieniądze zgodził się na odstąpienie swego nazwiska Joachimowi Rotszyldowi, z tych *podlejszych* Rotszyldów.

Podzięki od społeczeństwa za to, że obdarzył je tomem nowel, pragnie zapewne i p. Antoni Kudasiewicz. Na nieszczęście atoli minęły już czasy, kiedy sklecenie kulawego wiersza nadawało prawo do miana poety. Dzisiaj taki np. Ludwik Osiński z swym dorobkiem literackim wyglądałby nader licho, gdyż zaprowadzono nieznośny zwyczaj dokładnego sądzenia wszystkich utworów, które się na rynku literackim pojawiają. *Nowele i arabeski* p. Kudasiewicza są płodem bardzo nieudolnego pióra, które często nie umie poradzić sobie z wymaganiami logiki i gramatyki, o artyzmie już nie mówiąc. Po przeczytaniu tej książeczki doszliśmy do przekonania, że niedalekim jest czas, w którym miano nowelisty będzie niezaszczytnem. Nie będziemy bliżej roztrząsać owych *arabesek*, nadmienimy tylko o dziwnym sposobie pisania p. Kudasiewicza. Wiadomo, że reporterzy, gwoli zysku, każdy wiersz zaczynają od ustępu; pierwszy raz atoli zdarzyło się nam widzieć nowele pisane taką reporterską manierą. Niech autor będzie przekonanym, że nie wychodzi to na dobre stylowi, który robi wrażenie wozu, pędzącego z turkotem po wyboistej, pełnej kamieni drodze.

A. N.

TEATR.

L. Augier i J. Sandeau, *Jan de Thommeray*, komedya w 5 aktach, tłomaczona przez Kuczalskiego.

Dowiedziawszy się, że utwór ten pióra dwu znakomitych znawców sceny nie całą swą treścią należy do literatury cudzołóztwa, poszliśmy czemprędzej przyjrzeć się dziwu i doprawdy zdumienie nasze w miarę rozwoju akcyi rosło niepomału. Takeśmy bowiem już przywykli do brudów buduarowych na scenie, że zapominamy często, iż istnieją dramaturgowie, jak Augier, zdolni do obejmowania szerszych nieco widnokręgów.

Jan de Thommeray, to dzieje upadku moralnego człowieka, na którego zionął zatrutym oddechem „nowożytny Babilon" — Paryż. Syn rodziców, takich mniej więcej, jak opiekunki bohatera Bourgetowskiej *Cruelle énigme*, cnotliwych, surowych i skromnych w swym arystokratyzmie, szalenie miłujących Francyę bretończyków — idzie wyładować nagromadzoną energię wewnętrzną w świecie uciech. Zdawna już nudzi się on w zaciszu wiejskiem i bezwiednie łaknie prędszego tętna w życiu; tu mu duszno i ciasno, pomimo iż kocha wychowankę swych rodziców i jest przez nią kochany i z dawien dawna, jako syn najstarszy, zaręczony. Wnet pokusa, dotąd w głębi tajona, przyoblekła się w ciało kobiety pięknej, światowej a młodej, która olśniła prędko młodzieńca i do tryumfalnego swego rydwanu zaprzęgła. Wciąga go ona stopniowo w wir uciech, zabaw, rozrzutności i szybkiego zarobku, jedynie dla dogodzenia swej własnej fantazyi i przyzwyczajenia go do własnego typu. Dzika krew bretońska rozhulała się na dobre, ale zawsze jeszcze hamowana wspomnieniem o rodzicielskim domu i głęboko wszczepionem poczuciu honoru. Z czasem i te skrupuły pierzchają, zaczyna się gorączkowa, nieprzytomna gra na giełdzie, chaos lekkich miłostek; charakter podleje i słabnie; przyrzeka matce, która przyjechała wyratować go z otchłani, powrót na krótko chociaż do domu — i dla schadzki z kokotą łamie słowo. Coraz poważniej myśli o małżeństwie dla posagu i oszukuje kobietę, co go na bezdroża wprowadziła, ale kocha go szczerze i głęboko, jest w gruncie rzeczy uczciwą i szlachetną i srodze żałuje niewczesnego swego mentorstwa. Wreszcie opuszczają go wszyscy.

Rezultatem tego staczania się po pochyłości jest to, co widzimy w akcie piątym. Gra na zwyżkę, wobec wybuchłej niespodzianie wojny z Niemcami, zrujnowała de Thommeraya. Wyzuty ze wstydu i honoru, chce zbogacić się na oblężeniu Paryża i marzy o spekulacyach najpospolitszego rodzaju. Z wściekłością na swój upadek moralny i materyalny, z dziką świadomością grzechu, która miota się jeszcze na dnie sumienia, urąga cynicznie patryotyzmowi i drwi z towarzyszów pohulanek, którzy teraz walczą i giną mężnie za ojczyznę—ale zarazem przeklina gród olbrzymi, co go do tego przywiódł. Spostrzega, że posunął się dalej, niż zaprzyjaźnieni z nim królowie półświatka i szaleje z bólu. Nie ma odwagi i czoła wrócić do życia cnotliwego, ale szczęśliwy traf sprawia, iż nadchodzi oddział bretończyków pod dowództwem własnego jego ojca, osiwiałego już starca. Na dźwięk rodzinnej pieśni, na widok braci gotowych umrzeć za kraj, budzą się hurmem wszystkie lepsze instynkty, budzi się skrucha — i skołatany ten marnotrawca, z karabinem w ręku i ojcowskiem przebaczeniem, staje w szeregach, ażeby jeśli już nie życiem, to śmiercią szlachetną okupić swe winy.

Akt ten, wysoce efektowny, jedyny z pięciu, miał szczęście podobać się naszej publiczności. Niewątpliwie jest w nim wzruszający bardzo dramat nawrócenia, ale taki, który właściwiej byłoby nazwać melodramatem, mocno przypominającym *Trzydzieści lat życia szulera*. Na naszej scenie tę cechę jego niemiłą i obniżającą zbyt już demokratycznie szlachetną robotę całej sztuki, spotęgowali ogromnie artyści. Jest to paskudny i niedorzeczny przesąd mierzyć skalę roli ilością zawartych w niej słów i w razie gdy jest ich nie wiele, powierzać pierwszym lepszym. Końcowa scena *Jana de Thommeray* jest zbiorową i prócz takich wykonawców, jak pp. Rapacki i Ładnowski, ma jeszcze parę stłuczonych garnków, których głosy fatalny wprowadzają rozdźwięk i niesmak i, rzec można, psują wszystko.

Myśl daleko poważniej dramatyczna tkwi w przekleństwie rzuconem Paryżowi; jest to może zanadto moralizująca sentencya, streszczająca w sobie ideę całej komedyi; ale doprawdy dziś, na tle ciągłych wysiłków, jakby najlepiej obsmażyć zakazany owoc, jak go przyprawić — motyw Jana de Thommeray brzmi niemal świeżo i przyjemnie, bo też gdy słyszymy ten namiętny okrzyk: „niech żyje Francya!", przypominają się nam późniejsze kartki z dziejów tego narodu, który tak niedawno jeszcze był głową i sercem cywilizacyi, a dziś jest jej... kuplerem, domem publicznym, dziś, kiedy nad Europą wchodzi ponura jutrznia zapomnianych już wieków.

Kiedyindziej może by wszystkie części tej sztuki wydawały się melodramatem, jakkolwiek w najdelikatniejszym stylu. Powiadamy, może, gdyż sama psychologiczny rozwój, odbywający się w bohaterze pod wpływem warunków zewnętrznych, do ostatniego aktu skupia na sobie uwagę widza. Skupiałaby zaś jeszcze więcej, gdyby jej autorowie nie rozwalkowali zbytnio, nie przeslonili zbyt gęsto i zawile i nie opletli mnóstwem epizodów ubocznych, z których każdy za obszernie jest traktowany, i gdyby więcej szczebli demoralizacyi przebywał Thommeray na scenie, a mniej w międzyaktach. Ale i tu znów sprawiedliwość dodać każe, że owe pierwiastki postronne, jak wybuchy miłości dla pięknej kusicielki i jej wzajemności, jej stosunek z mężem, przepyszny choć niemożliwie wyidealizowany typ kokotki i wiele innych, układane są misternie i, mimo sporej dozy życiowego w nich realizmu, przedziwnie estetycznie.

Dzięki wybornej, nawet świetnej grze pp. Noiret, niby—Mesaliny, i Rakiowiczowej — Aryi, Barszczewskiej, panów Rapackiego, Szymanowskiego, Ładnowskiego, który w roli głównej miewa jednak dużo momentów słabych, a także p. Grzywińskiego, który ma tu nad wyraz szczęśliwy popis — sztuka wykonywaną jest wogóle bardzo dobrze, miejscami po mistrzowsku. Osobliwie p. Noiret winszujemy pozbycia się niemal doszczętnego melodramatycznej maniery.

Cez. Jel.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nota *Nordd. Allg. Ztng* przeciwko *Kuryerowi warsz.*— Mackenzie w polskiej pajęczynie. — Śmieszny ryk armaty. — Bajka o Marsie. — Astronomia uliczna.— Potrzeba zejścia z troników. — Wycieczka do Studzieńca. — Czarny obraz. — Znajomy swojski nasz duch. — Odsłonięcie pomnika zacnej duszy. — Zemsta p. Frageta. — Dwa wizerunki. — Przeoczony bohater.

Dotąd jeszcze nie jesteśmy pewni, czy minęła burza, którą Niemcy zawiesiły nad nami z powodu... *Kuryera warszawskiego*. Szczęściem, że z Berlina w prostej linii do Warszawy piorunu cisnąć nie można, inaczej... oh! Nie bój się, czytelniku, to: oh!— nie jest wykrzyknikiem trwogi, lecz śmiechu. Bo też mieliśmy wysoce zabawne widowisko, o tyle weselsze od innych, że otrzymaliśmy je całkiem darmo. Polityczny sprawozdawca *Kuryera warsz.*, filozofując sobie nad grobem Fryderyka III, jak filozofują w Warszawie wszyscy jego towarzysze, niewinnie, prywatnie, stukając domysłem o domysł, uronił skromną uwagę, że Mackenzie zataił istotę choroby nieboszczyka, ażeby ona nie stanęła mu przeszkodą do tronu. Puszczając w świat to domniemanie, polityk nasz mógł przypuszczać, że ktoś śród abonentów *Kuryera* uzna je lub nie, dostrzeże lub przeoczy, ale nigdy nie sądził, że swawolne wiatry zaniosą prostoduszną karteczkę aż do Berlina i że tam zbudzi ona ze snu grom. Tymczasem nagle telegraf przynosi wiadomość, że *Nordd. Allg. Ztng*, ta olbrzymia armata, przy której obowiązki kanoniera pełni ks. Bismark, strzeliła takim ładunkiem, jakiego używa do zabijania ministrów, admirałów, całych narodów—w *Kuryer warszawski*, oskarżając go o stosunki poufne z Mackenziem. Niewinny sprawca tej pomsty naprzód może zadrżał, potem zdumiał (błyskawica gniewu Jowiszowego oświetliła go dla Europy), a wreszcie, pomyślawszy nieco, rozośmiał się. Tym uśmiechem, wplecionym w trzeźwe wytłomaczenie faktu, *Kuryer* wycofał siebie z zabawnego jasełka i odrzucił płaszcz błazeński na ramiona przeciwniczki. Wyjaśnił bowiem, że jego odgadnięcie pobudek lekarza angielskiego było zwykłym, bez poufnych doniesień z zestawienia wypadków wysnutym wnioskiem, który przebłysnął po kolumnach wielu dzienników.

Wyznanie to nietylko przywróciło sen *Codziennemu*, który z zazdrości, że współzawodnik jego zwrócił na siebie uwagę Europy, widocznie pożółkł i zgrzył wiadomość

o szczęśliwej przygodzie kolegi, ale pozwoliło nam ubawić się wyłącznie kosztem berlińskiej najmitki. Znając wszakże oddawna żywot tej damy, winienem stanąć w obronie klepek jej głowy. Nie jest ona tak ograniczoną, ażeby wierzyła, iż Mackenziego otoczył pierścień „sztabu“ polskiego, który szeptem wsączył tajemnicę kuracyi Fryderyka III *Kuryerowi warsz.* Nie, ona tak nie sądzi. Ale należy to do jej metody, ażeby zawsze napaść obwijać w odpowiedź jakiemuś nieznanemu w Europie pismu i niby łapać za czub intrygę, która gdzieś na ustroniu z pod wody się wynurzyła. *Nordd. Allg. Ztng* bardzo często zapuszcza swe kły w prowincyonalny dziennik węgierski, włoski, francuzki, hiszpański i w nim kąsa przeciwnika, który tuż przy niej stoi. Widowisko to obserwowaliśmy wielokrotnie, bo Pindter lubi udawać Lecoqa. Kiedy wszyscy mają oczy zwrócone na osobistość noszącą wszystkie ślady winowajcy, on odkrywa go w spokojnym, zdaleka stojącym poczciwcu. Powiedzieć np., że Virchow, przywódca partyi postępowej, skłonił Mackenziego do zaprzeczenia raka, byłoby prostszem, ale niegodnem genialnego policyanta. Natomiast wyśledzenie związku między lekarzem angielskim a „sztabem“ polskim, który się zdradził w *Kuryerze warsz.* — to dowód wielkiego sprytu. Były powstaniec polski, Pindter daleko skwapliwiej sięga po wawrzyny rosnące wysoko, niż nizko, a przytem lubi odnajdywać naszą „intrygę,“ bo czem jest dla papieża mason, dla liberała jezuita, dla powieściopisarza francuzkiego kobieta, dla antisemity żyd, tem dla *Nordd. Allg. Ztng* i jej rozmaitych po świecie rozrzuconych krewniaczek polak — tajemna sprężyna wszystkiego złego. Kiedyś bardzo nas to gniewało, później nudziło, a teraz już rzetelnie śmieszy. Zrozumieliśmy wreszcie, że i my mamy prawo do tego, ażeby głupcy dawali przedstawienia dla nas, ażeby grali przed nami farsy. A taką farsą była napaść *Nordd. Allg. Ztng* na *Kuryer warsz.*

Tylko wpływom militaryzmu, który owładnąwszy ziemię, sięga już do nieba, przypisać można szczególne zajęcie się ogółu Marsem. Astronomowie, najściślejsi z badaczów a jednak często najbardziej przypominający baby pod kądzielą, z odbić światła na tej planecie wywnioskowali, że ona posiada kanalizacyę a więc i ludzi. Niewiele brakło, ażeby dojrzano tam przez teleskopy Bismarka, Moltkego i Lindleya. Nagłe, jako dzieło rąk człowieczych niemożliwe zmiany w owych kanałach sprowadziły pewne otrzeźwienie domysłów, bajarze jednak łażą dotąd po pismach i opowiadają naiwnym dziwy o sąsiedzie ziemi. Po ulicach zaś Warszawy wieczorem spacerują odurzeni tymi dziwami ludziska, patrzą w stronę różowej gwiazdy i rozmyślają: czy też na Marsie są szwaczki, któreby zaczepiać można, czy są koleje żelazne, odmawiające biletów bezpłatnej jazdy nędzarzom a nieodmawiające ich bogaczom, czcigodni kapłani, wyciskający chłopską kieszeń jak cytrynę, światli i zacni obywatele, prowadzani pod obie ręce przez żydów, których opluwają i ocierają własnym honorem — itd. W owym tłumie ulicznym nie ma tylko ludzi, któryby widzieli Marsa przez teleskop. Niedawno rozprawialiśmy dużo o potrzebie i obowiązku nabycia przyrządów astronomicznych po Jędrzejewiczu, o utrzymaniu stacyi naukowej i innych planach, które nie obiecywały żadnego rezultatu. Tymczasem doskonały, tani i prosty sposób uprzystępnienia ogółowi obserwacyi ciał niebieskich — oddawna używany za granicą — u nas daremnie czeka na zastosowanie. W każdem większym mieście niemieckiem na placach publicznych ustawiane są lunety, przez które publiczność za drobną opłatą oglądać może ciekawe zjawiska na niebie. Dlaczegoż by u nas redakcya *Wszechświata* nie miała kupić odpowiedniego przyrządu i zużytkować go podobnie? Koszt nakładu wróciłby się niedługo z opłat, bo któżby nie dał dziesiątki za możność obejrzenia przez teleskop Marsa, Saturna, Księżyca i innych ciał? A czy to nie przyniosłoby ogółowi większej korzyści, niż fantastyczne bajki o kanalizacyi i zaludnieniu Marsa? Tylko trzeba nam nieco więcej energii, a mniej wielkopaństwa. Nie sądźmy bowiem, że przy takiem obserwatoryum ulicznem stanąć może służący, lecz — jak za granicą — stanąć powinien, jeżeli nie astronom, to matematyk, człowiek ukształcony, któryby ciekawym udzielał odpowiednich objaśnień, któryby uczył.

Nie w tym jednym wypadku, ale wogóle, w bardzo wielu sprawach musimy zstąpić z naszych troników, zejść do warstw ciemnych lub obciągniętych cienką powłoką wiedzy a w gruncie również ślepych; inaczej nie rozpostrzemy nigdy szeroko oświaty po społeczeństwie, po którem ciągle, jak dotąd, pływać będą wierzchem drobne kółka nauki. Już wypławiliśmy się dosyć w morzu deklamacyi demokratycznej, czas wyjść na grunt czynów.

Żałuję bardzo, że nie mogłem wziąć udziału w wycieczce do Studzieńca dla obejrzenia kolonii poprawczej; muszę bowiem fotografować ją z obrazu, nakreślonego w *Kuryerze warsz.* A obraz to bardzo ponury. Na 144 chłopców sprawozdawca zaledwie 13 naliczył takich, którzy wyglądają czerstwo i zdrowo. „Wielu pensyonarzów nawet w dzień popisu było źle umytych, a jak kilku z nich objaśniało, kąpiel odbywa się zaledwie raz na miesiąc i to w sadzawce błotnistej z cuchnącą wodą.“ *Bardzo wielu* nosi na sobie ślady oddawania się zgubnemu nałogowi, który ich wyniszcza. Nauka ma iść licho (przytoczono lekcyę arytmetyki), rzemiosła, prócz kołodziejstwa, nie stoją zbyt wysoko, słowem wszystko tam złe i nikt nie dba o wychowańców Osady, z wyjątkiem — naturalnie!— „pełnego poświęcenia kapłana, który niezmordowanie pracuje nad umoralnieniem tych nieszczęśliwych.“ Ach, gdzież się podział tak niedawno jeszcze jasnemi barwami malowany w prasie widok sielanki studzienieckiej! Zniknęło to rozkoszne marzenie, kryształowy światek bez plamki. Czy on sam się zamroczył, czy też padły na niego cienie złego humoru sprawozdawcy, któremu przewodniczący kazał przedstawić treść mowy toastowej przed wygłoszeniem jej? Czy coś rzeczywiście „zepsuło się w państwie duńskiem,“ czy też tylko Hamlet z *Kuryera* widzi złe, patrząc w głąb obrażonej godności? Nie umiem powiedzieć. Zastanawia mnie tylko, czemu zarząd Osad nie wystąpił z obroną swego gospodarstwa. Częściowo ja to uczynię. U wrót Studzieńca spotkał przybywających stary, poczciwy geniusz wszystkich naszych stowarzyszeń— niedobór składek od członków, wynoszący 45,255 rs. Temu duchowi obywatelskiemu nigdy i nigdzie nie przeniewierzymy się — to nasz herb narodowy. Uczciwszy go, zastanówmy się, jakim sposobem Osada może być prowadzona wzorowo przy 45,255 rs. zaległości? Zwykle bijemy dyrektorów, prezesów, oficyalistów (bez „czcigodnego kapłana“), a pomijamy członków stowarzyszeń, którzy są głównymi sprawcami złego. Dajmy dziś Studzieńcowi tę sumę, ile on za nią dokona ulepszeń! Może nawet dogodzi sprawozdawcy *Kuryera* i dla 9 żydków w Osadzie sprawi osobnego rabina.

W jednym z poprzednich numerów wspomniałem o fabrykancie, który wymagał od podwładnych kartek z odbytej spowiedzi i nie pozwolił im uczestniczyć w pogrzebie kolegi. Ponieważ inne pisma wystąpiły z ostrą krytyką jego działań, więc podejrzywając swych oficyalistów o zdradę tajemnic jego kantoru, wypowiedział miejsce siedmiu z nich od 1 października. Pomiędzy nimi są ludzie obarczeni rodzinami, pracujący dla niego uczciwie po kilkanaście lat i stanowczo (przynajmniej względem naszej redakcyi) niepozostający w żadnym, nawet pośrednim związku z wymierzonemi przeciw niemu uwagami. Niestety, ów fabrykant ma prawo pozbawiać u siebie chleba pracowników, którzy mu niczem nie zawinili, oprócz chyba niedostatecznem zginaniem karku; ma prawo po zawiadomieniu rejentalnem na trzy miesiące przed terminem wyrzucić ich ze swej fabryki; ma prawo nie troszczyć się, czy znajdą w tym czasie inne zajęcie i wyżywią swe dzieci; ma prawo do okrucieństwa, surowości i poniewierki uczuć ludzkich; ale p. fabrykant nie posiada żadnego prawa, z którego podobno korzysta—mianowicie bezkarnego szkodzenia opinii ofiar swego gniewu. Gdyby zaś zechciał z niego na ich szkodę użytkować, natenczas pokrzywdzeni powinniby udać się pod opiekę sądów, inni fabrykanci, których sumienie nie przerosło interesem, dać im zajęcie, a prasa—pozwać p. pryncypała przed trybunał opinii publicznej, od której jako przemysłowiec i kupiec zależy. Mimowoli nasuwa się nam tu ciekawe porównanie: jeden fabrykant wyrobów platerowanych p. Norblin darował swym robotnikom na pensyę emerytalne kilkadziesiąt tysięcy rubli, drugi, przedstawiciel firmy starszej, i względem tutejszego społeczeństwa bardziej zobowiązanej, wydala ośmiu oficyalistów za to — uważmy — za to, że w kilku pismach zganiono jego postępowanie. Warto te dwa wizerunki umieścić obok siebie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zamożność emigrantów. — Ruch ku Ameryce śród naszego ludu. — Zysk i straty. — Zadanie Banku włościańskiego. — Spadkobiercy ekonomiczni szlachty. — Wysychające źródła radości, czyli perły z łez. — „Nadzieja“ w Dąbrowie i obowiązek *Tygodnia.* — Tanie i nudne artykuły. — Letnia iluminacya naszego kraju. — Źdźbło w oku sąsiada. — Lekarze z kaucyą.

Ks. Bismark, odpierając zarzuty postępowców, dowodzących mu złej gospodarki zapomocą cyfr wzrostu wysiedleń do Ameryki, oświadczył, że emigracya jest dowodem dobrobytu, gdyż wymaga pieniędzy na koszta podróży. Wykręt ten rozłazi się pod dotknięciem krytyki, bo tą samą logiką dowieść można, że samobójcy z głodu są bogatsi od biedaków żyjących, gdyż mają sobie za co kupić sznurek. Ale drobne ziarenko słuszności tkwi w owym koncepcie. Istotnie, człowiek wyjeżdżający do Ameryki, musi posiadać jakiś drobny fundusz. Z kraju naszego znowu dobiegają wieści o liczniejszych wędrówkach chłopów za ocean. Ruch ten wywołują i podtrzymują agenci niemieccy, którym naturalnie idzie tylko o nałapanie łatwowiernych ryb do sieci, o obranie ich ze złotej łuski i rzucenie potem na łup drapieżnym ptakom lub nędzy. Nie biorąc w rachubę bardzo nielicznych wyjątków, kolej niedoli zdurzonego prostaka biegnie stałym torem: wyprzedawszy się z mienia, jedzie do Hamburga, na okręcie traci resztki zasobów i pada na lądzie amerykańskim, gdzie albo zaprzedaje się w niewolniczą służbę, albo umiera z głodu, albo za przymusową kradzież dostaje się do więzienia. Przepada więc nam w tym upływie pewna ilość energicznych jednostek i środków ekonomicznych. Jedne i drugie stanowią stratę, której nie wynagradza pociecha Szczepanowskiego (*Nędza w Galicyi*), że „niech setny powróci z jakim takim kapitalikiem, z doświadczeniem, to stanie się zarodkiem nowych myśli i wyobrażeń w zastałej masie ludności wiejskiej.“ Bo naprzód warto byłoby zważyć, czy 1 szczęśliwy posiadacz skromnej wygranej na loteryi losu równoważy 99 straconych stawek życia i mienia, a powtóre, nawet setny nie zwycięża w tej strasznej walce o byt. Emi-

gracya ludu naszego trwa ciągle, a jednak nie zauważyliśmy wcale, ażeby z tych fal odpryskające do ojczystego łożyska krople przyniosły „zaród nowych myśli i doświadczeń do zastałej masy.“ Łudzić się dobroczynnym wpływem tego ruchu niepodobna. A więc, gdy znowu o nim słychać (zwłaszcza w okolicach Nioszawy), należy go tamować lub otwierać mu lepsze ujście. Grobli i łożyska dostarczy — jak mniemamy— Bank włościański, którego pożyczki dadzą ludowi możność rozszerzenia głównego warsztatu pracy — ziemi. Po odtrąceniu ciemnoty w jednostkach, usidłanych przez agentów zagranicznych, znajdziemy wiele energii, przedsiębiorczości, uzdolnień ekonomicznych, które dziś przepadają marnie w zamorskich wędrówkach a przy zasiłku pieniężnym w kraju zużytkują się doskonale. Zresztą pamiętajmy, że t. z. szlachta, jako klasa uprawiająca rolę, coraz liczniej schodzi u nas bezpotomnie, wymierając na marnotrawstwo i niezaradność, otwiera się więc po niej spadek ekonomiczny, który powinien przejść do ludu. Niech on będzie dziedzicem stanowisk i roli swych dawnych panów. Przejęcie tego dziedzictwa ułatwi mu Bank włościański.

Po dworach odezwał się stłumiony jęk na wiadomość o podwyżce kursu rubla, którego niedola jest dobrą dolą producentów zbożowych. Łzy innych klas społecznych stają się dla nich perłami. Gdy nieurodzaj w sąsiedztwie rozpostrze klęski, gdy cena rubla spadnie do najniższej skali jego wartości, wtedy rolnicy są olśnieni urokami najpiękniejszego ze światów. I jedno źródło szczęścia i drugie wysycha. Rubel idzie w górę, jak merkuryusz na słońcu, a plony zapowiadają się dobrze. Ponieważ zaś ruchowi giełdowemu na dłuższy termin ufać nie można i ciągle spodziewać się należy w nim zwrotów nagłych, pod naciskiem wypadków politycznych, które panują wszechwładnie na rynkach pieniężnych i handlowych, przeto rolnik nasz (o ile nie gra w „zielone“) nie ma przybliżonego wyobrażenia, co mu da koniec lata i jesień. Ceny zboża dotąd tkwią w... totalizatorze.

Są one tak niepewne, jak prawda w doniesieniach o dąbrowieckiej „Nadziei,“ stowarzyszenia spożywczego przy tamtejszych hutach. Podczas gdy *Kuryer codzienny*, *Tydzień* piotrkowski i inne pisma widzą w niej wielobarwną tęczę zgody i pożytku, skądinąd odzywają się głosy, oskarżające zarząd o wyzysk robotników, zmuszonych do kupowania tam produktów drożej, niż w sklepach prywatnych. *Dniewnik warsz.* na podstawie tych doniesień żąda nawet „wmieszania się władzy,“ gdyż krzywda robotników ma być wielką a gwałt spełniany na ich kieszeniach wołający o pomstę. Najbliższy miejsca *Tydzień* piotrkowski powinien by tę sprawę wyświetlić i albo ujawnić nadużycie — jeśli ono jest, albo — jeśli go nie ma — odjąć karm plotkom, niepokojącym opinię publiczną. Kilka frazesów, powtórzonych w fejletonie tego pisma za Prusem, rzeczy nie wyjaśnia i Piotrków nie od Warszawy powinien się dowiadywać, co się dzieje w Dąbrowie.

Całe kolumny pism prowincyonalnych zadrukowane są nazwiskami uczniów i uczennic, którzy przeszli z klasy do klasy lub ukończyli kurs nauk. Artykuły to dla wydawców bardzo przyjemne, bo bezpłatne, ale dla czytelników chyba nudne i bezużyteczne. Że jakiś malec dostał promocyę, to wypadek ważny dla niego i jego rodziny, ale dla kraju lub nawet okolicy całkiem obojętny. Niepodobna zaś, ażeby zatykanie dziur tym materyałem było smutną koniecznością pory letniej, bo ona nie rozskwarzyła się wcale. Przy 15 do 20 stopniach ciepła prowincya powinna by dawać jeszcze znaki życia. Ma ona jednak osobny kalendarz: kończy rok swej żywotności po wyścigach i wystawach, a zaczyna go w końcu sierpnia po żniwach. Przez dwa miesiące poci się i... gasi pożary.

Jest to bowiem pora, kiedy u nas słońce wstępuje w znak ognia. Palą się i palą, jak na komendę, miasta, wioski, budynki, zwierzęta, ludzie. Każdy numer gazety przynosi kupę zgliszcz i popiołów. To spłonął Supraśl, to Długowola, to Garnowo—a ktoby wszystkie słupy ogniste zliczył! Tu już niepodobna wypadków obejmować szczegółowym wykazem, ale trzeba je zgarniać w grupy statystyczne. Gdyby po nad krajem zawisł w balonie przodek nasz z przed 300 laty, widząc te łuny i dymy, sądziłby, że tatarzy znaczą swój pochód. A to tylko zwykłe pożarowe sobótki, które wyprawia niedbalstwo, nieostrożność i zbrodnia.

Korespondencya *Kraju* z powiatu uszyckiego tak się podobała kilku pismom naszym, że ją przedrukowały z zadowoleniem. Opowiada ona o „fetyszyzmie“ żydowskim. Oto ludność izraelska nadgraniczna odbywa corocznie pielgrzymki do rabinów galicyjskich w Sadogórze i Musiatynie, którym zawozi różne dary a otrzymuje „relikwie“ — tj. drobne pieniądze, na które cadyk chucha. Skutkiem zaostrzenia przepisów paszportowych operacya ta dokonywa się teraz pocztą. Pomijając widoczne niepojmowanie wyrazów: fetyszyzm i relikwie (szczątki), czy korespondent pokrewieństw dla tego kultu nie znajduje w zwyczajach, które może szanuje a w każdym razie bez zgrozy na nie patrzy? Czy tylko żydzi wierzą w cudowną władzę „fetyszów“ i rabinów, czy tylko oni padają na kolana, odbierając przedmioty poświęcane? Już jeżeli szydzić, to najlepiej z otoczenia najbliższego.

Policya łódzka złapała do klatki dwa rzadkie ptaki: „lekarzów z gwarancyą,“ którzy składali kaucyę jako rękojmię uzdrowienia. Nie wiem jakich używali środków, ale jeśli hypno-magnetyzmu, to postąpiono z nimi za surowo, gdyż ta „metoda“ przyrzeka niezawodną skuteczność swych sposobów i jej mistrze mogą składać kaucye z zupełnem bezpieczeństwem odzyskania ich. Jeżeli Warszawa zapewnia wyznawcom tej sztuki swobodę praktyki, dlaczego Łódź ma być surowszą? Byłoby to tem dziwniejsze, że — jak przekonywa hołd jej *Dziennika* złożony p. Silbersteinowi — nie przesiewa się tam słów i czynów przez zbyt gęste sito.

P. W.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Ministeryum dóbr państwa ma założyć dziesięć szkół konduktorów leśniczych w guberniach: twerskiej, nowogrodzkiej, wołogodzkiej, permskiej i wiackiej, oraz pięć przy leśnictwach w guberniach: warszawskiej, moskiewskiej i kazańskiej. Kurs nauk ma być dwuletni, przeważnie praktyczny. Po ukończeniu uczniowie otrzymają tytuł konduktora leśniczego i korzystać będą z praw, przywiązanych do tego tytułu.

— Polecono nauczycielom religii wyznania luterańskiego, w okręgu naukowym dorpackim, aby wykładali swój przedmiot po łotysku lub estońsku w wypadku, gdyby uczniowie nie wykazali dostatecznej znajomości języka niemieckiego.

— W Moskwie zwinięte zostały wyższe kursa żeńskie, na których wykładano tylko przedmioty wydziału historyczno-literackiego w zakresie uniwersyteckim. Założone zostały w r. 1872 staraniem jednego z profesorów.

— W Kaliszu nie będą przyjmowani do gimnazyum nowi kandydaci do klasy 1-ej, 2-ej i 3-ej z powodu braku miejsc. W Łodzi zaś przyjmowani będą do wszystkich klas.

— W kraju nadbałtyckim postanowiono nie wydawać nadal pozwoleń na otwieranie prywatnych zakładów naukowych z językiem wykładowym niemieckim.

— Wyznaczoną została komisya do wykonania projektu zakładania szkół przemysłowych. Zadaniem jej będzie wykazanie miejscowości, gdzie szkoły przemysłowe zakładane być mają, oznaczenie specyalności dla każdej, oraz wypracowanie projektu etatów i wewnętrznej instrukcyi.

— Kandydat uniwersytetu warszawskiego, p. Erenfeld, mianowany został p. o. młodszego astronoma obserwatoryum astronomiczno - meteorologicznego przy uniwersytecie warszawskim.

— Kółko przemysłowe, istniejące obok stowarzyszenia „Jedność“ w Chemnitz, zawiadamia chcących się kształcić w szkołach przemysłowych niemieckich, że i nadal podejmuje się bezinteresownego udzielania wskazówek. Na koszta przesyłki dołączać należy marek ruskich za cenę 20 fen. (10 kop.) od zwyczajnego listu. Listy należy wysyłać pod adresem Feliks Laudyn, Chemnitz (Sachsen), Alte-Dresdenstrasse, 15 I.

Prasa. Wydawnictwo *Gazety informacyjnej* zostało zawieszone, do czasu zatwierdzenia niektórych zmian w koncesyi, o co nowonabywca, p. Szyller, poczynił starania.

— W ministeryum spraw wewnętrznych podjęto projekt ustanowienia nowej posady inspektora okręgowego do spraw prasowych na południu Rosyi.

Katastrofy. Miasteczko Łoździeje w gub. suwalskiej, które w r. 1886 zostało zniszczone przez pożar w większej połowie zabudowań, znowu uległo takiejże klęsce. Spaliło się 42 domów, 2 synagogi i 54 zabudowań gospodarskich. O stłumieniu ognia w zarodku nikt prawie nie myślał.

— Powodzie na Kaukazie uszkodziły kolej na przestrzeni 464 wiorst.

— W Brzeziu (okręg bocheński) uderzył piorun w kościół podczas nabożeństwa, odprawianego przez biskupa krakowskiego. Trzy osoby zostały zabite, 36 ranionych, około 200 kontuzyowanych.

Koleje. Rada państwa wydała rozporządzenie ustanowienia kontroli nad obrotami następujących dróg żelaznych: Nadwiślańskiej, Bydgoskiej, Terespolskiej, Duńskiej, Orłowsko-Witebskiej, Dynabursko - Witebskiej, Riazo - Wiaziemskiej, Morszańsko-Eyzreńskiej, Zakaukazkiej, Sewastopolskiej, Bałtyckiej i Moskiewsko-Brzeskiej.

— Galicya zostanie połączoną z Węgrami nową linią drogi żelaznej, która połączy Stanisławów z końcową stacyą węgierskiej kolei północno-wschodniej.

— Spółka francuzka prowadzi rokowania o zbudowanie w Berdyczowie drogi konnej.

Zaburzenia. W Siedmiogrodzie, w gminie Folwar, z powodu układów kameracyjnych, wynikły wśród włościan zaburzenia. Półtoratysięczny tłum począł rzucać kamieniami na komisyę sądową. Żandarmerya użyła broni. Jeden człowiek został zabity, wielu poranionych. Członkowie komisyi ratowali się ucieczką.

Cło. Przedstawiciele przemysłu bawełnianego wystąpili do ministeryum finansów z wnioskiem o podwyższenie cła od bawełny, przychodzącej przez granicę suchą, do rubla, a przez wodną do 75 kop. *Petersb. Wied.* zapewniają, że przedstawienie to doznało przychylnego przyjęcia.

— Ministeryum finansów z inicyatywy synodu postanowiło obłożyć wysokiem cłem wosk ziemny, przywożony z Austryi.

— *Now. Wremia* wyjaśnia, że pozwolenie sprowadzania bez cła rudy żelaznej dotyczy tylko Finlandyi wschodniej, skąd ruda dostarczaną będzie jedynie przez komorę celną w Schlisselburgu. Zakłady hutnicze, pragnące korzystać z tej ulgi, winny wyjednywać za każdym razem pozwolenie wydziałów dóbr państwa i skarbu, które ilość rudy, potrzebnej dla zakładu, oznaczą.

— Petersburscy fabrykanci obuwia wnieśli projekt do odpowiednich władz — obłożenia podatkiem obuwia warszawskiego.

— Ks. Bismark, jako minister handlu, zarządził podniesienie wagi wchodzących do Niemiec gatunków pszenicy, żyta i jęczmienia.

Salon artystyczny, jako spółka malarzów i rzeźbiarzów, uprawiający przedewszystkiem sztukę zastosowaną do przemysłu, otwarty został w Warszawie.

Papier stęplowy. W celu ułatwienia zawierania umów o sprzedaż lasów oraz wypuszczanie w dzierżawę gruntów skarbowych, ma być rozesłany przez izby skarbowe, tytułem zaliczenia, papier stęplowy pięciu niższych kategoryj na cenę do 100 rs., oraz marki stęplowe do wszystkich leśniczych, nie wyłączając Królestwa Polskiego.

Gubernator kijowski zalecił władzom powiatowym pilnie baczyć, aby osoby nieposiadające świadectwa na prawo nabywania własności ziemskiej w kraju południowo-zachodnim, lub posiadające świadectwa z przed wydania prawa z 27 grudnia 1887 r., nie były dopuszczane do licytacyi gruntów.

Sądy. Prezes sądu okręgowego polecił przestrzegać, iżby osoby, delegowane do sprawowania obowiązku sekretarzów na posiedzeniach, posiadały prawidłową wymowę ruską.

Żegluga. Rada państwa wydała rozporządzenie rozszerzenia żeglugi parowej dunajsko-czarnomorskiej. Kapitał zostanie powiększony do 1,200,000 rs. Towarzystwo korzysta z opłaty milowej stosownie do kursów.

Stacya klimatyczna. Jeden z lekarzy otworzył stacyą klimatyczną w Krasnobrodzie, miejscowości położonej nad górnym Wieprzem, o trzy mile od Zamościa.

Ogród zoologiczny w Warszawie przeszedł na własność spółki firmowo-komandytowej pod firmą: „Ogród zoologiczny w Warszawie J. M. Kamińskiego i Sp.“

Komitet sanitarny został otworzony w Tarłowie (pow. iłżecki).

Decyzya senatu. Senat orzekł, iż okręgowe sądy wojenne obowiązane są na żądanie stron wydawać nakazy egzekucyjne do odbioru pieniędzy od osób, które zostały skazane wyrokiem sądowym na uiszczenie należności.

Zaraza. W okolicach Iwangrodu (Modlina) pojawiła się zaraza na bydło, przybierająca szerokie rozmiary. Najsilniej grasuje we wsi Rysice i w osadzie Bobrowniki.

Konkurs. Rząd belgijski ogłosił konkurs z nagrodą 25 000 franków za najlepszą pracę „O sposobie taniego dostarczania w obfitej ilości dobrej wody do picia dla wielkich miast wogólności, a dla Brukselli w szczególności. Prace nadsyłać należy przed dniem 1 stycznia do ministeryum robót publicznych w Brukselli.

Elektryczność. Rząd hiszpański wydał rozporządzenie, aby we wszystkich teatrach w całem państwie zostało zaprowadzone li tylko światło elektryczne, najpóźniej w ciągu pół roku.

Emigracya. Cała ludność wsi Teuchel (w Karyntyi) postanowiła wyemigrować i zaproponowała państwowemu rządowi leśnemu sprzedaż swoich majątków za ogólną sumę 100,000 złr.

Pekiński dwór polecił przetłomaczyć Shakespeare'a na język chiński. Pracę tę powierzono prezesowi pekińskiej akademii nauk.

Kijewlanin donosi, że w powiecie dubieńskim przeszło sto rodzin zamieszkałych tam czechów przyjęło religię prawosławną.

Zmarli. Chludziński, profesor hodowli bydła w Nowej Aleksandryi (Puławach).

— Dr. Kuśmierski, asystent kliniki szpitala dla dzieci w Paryżu.

— Gąsiorowski, profesor gimnazyum w Wadowicach, znany literaturze pod pseudonimami Tristisa i Górowskiego.

— J. H. Zuckertort, znany szachista.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Dr. Ch. Można. Zwrot już uprawniony zwyczajem języka.

P. Rog. Z pewnością był Pan w dniu lub w godzinach, w których kantor pisma jest zamknięty; o co więc pretensya?

Czyt. w Klecz. Publicznie odsłonić nazwiska nie możemy.

E. M. w Lublinie. Ma pan prawo do przekładu bez naszej zgody, a jeśli ona potrzebna — i ją także.

Modrz. Wierszyk udatny, ale zamieszczonym być nie może.

P. J. Żark. w Saratowie. Adresu szczegółowego nie znamy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Iюня 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.